Nr. 32. Lwów, Niedziela dnia 7. Kwietnia 1878 r. **Tom VI.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
We Francyi prenumeratę i ogłoszenia przyjmuje wyłącznie ajencya Havas, Laffite et comp. 8. place de la Bourse.

STOWARZYSZENIE „PRACY KOBIET“ WE LWOWIE.

Wielu z czytelników i czytelniczek „Tygodnia“ pamięta zapewne z zeszłorocznej wystawy krajowej obfitą i gustownie urządzoną wystawę stowarzyszenia „Pracy kobiet“, którą też *jury* wystawowa odznaczyła najwyższą nagrodą, dyplomem honorowym. Istotnie, nie wiele mamy stowarzyszeń, które nietylko szlachetnością celów, lecz niemniej także praktycznym wyborem środków do dopięcia tych celów, zasługiwałyby na tyle sympatyi, ile stowarzyszenie „Pracy kobiet“ we Lwowie.

Celem tego stowarzyszenia jest podniesienie wartości pracy kobiet, i udoskonalenie takowej, otwieranie nowych dla niej zakresów ze stanowiskiem społecznem i powołaniem kobiety zgodnych, a wreszcie wzajemna pomoc stowarzyszonych. W r. 1877 liczyło ono 208 członków i utrzymywało szkoły i pracownie: krawieczczyzny, szycia białego, cerowania, dziergania, haftu, wyrobu ręcznych frendzli, maszynowych robót pończoszkowych, szkołę handlową dla kobiet, w której udzielano naukę rachunkowości kupieckiej, korespondencyi, arytmetyki, języka polskiego i niemieckiego, kaligrafii, dalej szkołę powtarzającą dla doroślejszych panienek, a wreszcie biuro wywiadowcze i kasę zaliczkową pożyczkową dla użytku członków.

Członkowie zwyczajni wpłacają miesięcznie na fundusz obrotowy po 20 centów, a na fundusz zapomogowy po 5 centów; wkładki członków honorowych wynoszą po 1 złr. miesięcznie. W roku zeszłym złożyli członkowie 980 złr. 40 ct. Suma dochodów Towarzystwa wynosiła w tymże roku 2562.12 w. a.

Ostateczny wynik pieniężny działań stowarzyszenia „Pracy kobiet“ w r. 1877 nie był jednak pomyślnym, gdyż z uzbieranego dawniej majątku potrzeba było pokryć zwyżkę rozchodów w kwocie złr. 3.463.90 w. a.

Ta okoliczność dała powód zarządowi do gruntownych rozpraw nad pytaniem, jak pokierować czynnościami Towarzystwa, ażeby zapewnić mu stateczny rozwój?

Zgodzono się na to jednomyślnie, iż złączenie pracowni ze szkołami robót kobiecych do niczego dobrego nie prowadzi. Rozdzielono przeto już w zeszłym roku administracyą warstatów od szkół. Lecz ten środek połowiczny okazał się niewystarczającym, gdyż środki materyalne, jakimi Towarzystwo rozporządza, są za szczupłe, ażeby ono zdołało wyposażyć pracownie na większą skalę, a równocześnie także czynić większe wydatki na rozwinięcie szkół. Koniecznie więc potrzeba zdecydować się na jedno albo na drugie — na wyłączne rozwijanie pracowni, albo szkół.

Otóż w tym punkcie ścierają się w łonie zarządu dwa przeciwne sobie prądy: jedni członkowie przemawiają za tem, ażeby zarobek warstatowy uczynić wyłącznym celem dążności zakładu, inni zaś domagają się, ażeby naukę robót kobiecych wytknięto jako główne zadanie instytucyi.

Co do nas, to stanowczo oświadczamy się za szkołami. Jeżeli bowiem to prawda, że stowarzyszenie „Pracy kobiet“ najlepiej odpowie celowi swojego istnienia, jeśli w jak najszerszym zakresie będzie się przyczyniało do tego, aby kobietom umożliwić i ułatwić uczciwy zarobek, to za pomocą warsztatów nigdy ono tego celu osiągnąć nie zdoła, gdyż najpierw zarząd przedsiębiorstwa zbiorowego z cechą przeważnie humanitarną nigdy nie może być ani tak obrotny ani tak ruchliwy, jak zakładów obliczonych na zysk osobisty prywatnego przedsiębiorcy, powtóre, stowarzyszenie „Pracy kobiet“ nie zdoła zebrać tak znacznego funduszu obrotowego, ażeby mogło warsztaty swoje na wielką stopę rozwinąć, t. j. zaopatrzyć je w większą ilość maszyn, przyborów i narzędzi, materyału do roboty i utrzymywać znaczniejszą liczbę pracownic stałych, bez względu na stan zamówień, a wreszcie, pracownie robót kobiecych po klasztorach i w domu karnym u Maryi Magdaleny, które ani lokalu opłacać nie potrzebują, ani ich kosztuje światło i opał, i administrowane są bez kosztów, nigdy nie dozwolą rozwinąć się pracowniom stowarzyszenia „Pracy kobiet“, które z natury swej muszą pochłaniać znaczne sumy na koszta administracyjne. Gdyby stowarzyszenie „Pracy kobiet“ miało do rozporządzenia kilkadziesiąt albo co najmniej kilkanaście tysięcy złr. funduszu obrotowego, to rozwinąwszy pracownie swoje na stopę fabryczną, mogłoby wyrabiać towary na eksport, i nie potrzebowałoby troszczyć się konkurencyą klasztornych szwalni miejscowych. Taki kapitał nie prędko mógłby być zebrany 20centowemi wkładkami członków, a przy teraźniejszej wysokości swojego funduszu obrotowego, (i tak już mocno nadszarpniętego niedoborem zeszłorocznym), pracownie żadną miarą nie mogą rozwinąć się, i z czasem muszą one zabić Towarzystwo, gdyby były dłużej utrzymywane.

Inaczej zaś powodziłoby się stowarzyszeniu „Pracy kobiet“, gdyby utrzymywanie i zakładanie coraz nowych fachowych szkół dla kobiet uznało ono za główne zadanie swoje. Przez stopniowe udoskonalanie mogłyby te szkoły dojść z czasem do znakomitej reputacyi, tak, że liczba ich uczennic wzrastałaby z każdym rokiem, zaprowadzając zaś oprócz tego coraz nowe gałęzie nauki, na prawdę rozszerzałoby Towarzystwo, jak tego statut wymaga, zakres pracy kobiet, i tym sposobem przyniosłoby największą korzyść społeczności naszej, obfitującej w szwaczki rozmaitego autoramentu, które nie mają co robić. W opinii ogółu nie miałoby wówczas Towarzystwo charakteru zarobkującego przedsiębiorstwa, tak iż z funduszów publicznych łatwiej byłoby mu otrzymać potrzebne środki do rozwijania szkół swoich, które też i z opłat uczennic coraz większy dochód miećby mogły.

Rozwinięcie szkół nie przeszkadzałoby bynajmniej przyjmowaniu obstalunków na roboty, tylko byle to działo się nie na ryzyko zakładu. Możnaby to urządzić w podobny sposób, jak wiedeński *Frauenerwerb-Verein*, który przyjmuje zamówienia sposobem komisowym za pewną prowizyą, aby je oddawać do wykonania ukończonym uczennicom szkół swoich, którym udziela czasem zaliczki na zakupno materyału. Tym sposobem dopomaga wiedeński zakład bardzo

znacznej liczbie ubogich robotnic, a siebie nie obciąża balastem stałych robotnic, które muszą pobierać stałą płacę bez względu na to, czy jest robota albo nie.

Z kupiecką rutyną prowadzony bazar robót kobiecych, w którym spieniężanoby roboty uczennic i oddane w komis roboty członków Towarzystwa, także wedle naszego mniemania powinienby opłacać się dobrze, przynajmniej lepiej, niż teraźniejszy nie bardzo przystępny kantor sprzedaży.

Te uwagi, które nam dyktuje najszczersza życzliwość dla tak szlachetnej instytucyi, jak stowarzyszenie „Pracy kobiet“, ośmielamy się poddać pod rozwagę szanownego jej zarządu.

MIĘDZY LUDŹMI.

POWIEŚĆ

przez

BOLESŁAWA PRUSA.

(Ciąg dalszy.)

VIII.

Nowy przyjaciel.

Pan Kalasanty Durski, majster krawieckiego kunsztu, mieszkał w okolicach Starego miasta, gdzie w pewnej kamienicy na dole posiadał sklep z żoną, a na drugiem piętrze warsztat z odpowiednią liczbą chłopców i czeladników. Był to człek starej daty: nosił na grzbiecie surdut z długim stanem a pod czerwonym nosem wąsy, które skutkiem podgolenia przypominały używany wycier do cybuchów. Grywał przy tem niekiedy na basetli i miłował swoją rodzinę tudzież trunki krajowe.

Z takim to nowym opiekunem szedł Jaś na nowe mieszkanie, a choć droga była nie wielka, zjadła im jednak dużo czasu. Na każdej bowiem ulicy pan Durski zostawiał Jasia na flizach, sam zaś „wstępował za interesem.“

Chłopiec dostrzegł, że interesa te zawsze przypadały jakoś w cukierni lub bawaryi i że musiały iść dobrze, ponieważ pan Kalasanty stawał się coraz rzeźwiejszym.

Nareszcie opiekun i wychowaniec dosięgli „magazynu ubiorów męzkich,“ w którym znaleźli chudego i zaspałego chłopca imieniem Jędruś i bardzo otyłą damę, samę panią Durską. W obec damy tej Jaś złożył ukłon, a pan Kalasanty, stanąwszy na rozkroczonych nogach, zawołał:

— A co! szanują nas ludzie!... Oto jest — mówił wskazując na Jasia — ten chłopak, co nam go dali w opiekę. Tamci go, panie, wzięli, ale że był niewdzięczny, uparty i kawalerów trochę w zęby poszturkiwał, więc go panie oddali do mnie, do Durskiego!... U mnie panie, czysty dom poprawy... wszystkich łajdaków mi oddają z całego świata! Cóż ty na to, Franiu?

Otyła dama tymczasem bacznie przypatrywała się Jasiowi. Widząc to pan Kalasanty, zadarł mu głowę do góry, uszczypnął w policzek i mówił dalej głosem podniesionym:

— Powiadam ci, Franiu, że to chłopak z edukacyą, tylko trochę łajdak i dlatego do mnie go oddali... do Durskiego! Ale jak ja mu panie przyfastryguję kilka rzemieni pod sprzączkę, to wyrośnie z niego anioł... jak Jędruś!.. Dajno Franiu złotówkę, muszę iść do miasta.

— Przecieżeś dopiero wrócił z miasta — odparła dama niechętnie. — Poszedłbyś lepiej na górę, bo tam na łbach stają...

— A ja po co na górę?.. — oburzył się majster. — A od czego ja trzymam Panewkę?.. A kto będzie za interesami chodził?.. Daj Franiu złotówkę!..

Pyzata i jakby nalana twarz damy ożywiła się.

— Patrzcie go śmirusa, on mi tu będzie interesami zawracał!.. — krzyknęła dama. — Nie dam nic, siedź w domu!... Nie bój się, nie zbankrutują bawarye jak dziś nie pójdziesz.

— Jakie znów bawarye?... Muszę przejść po dłużnikach, bo mi pieniądze przepadną. Dajże choć dwadzieścia groszy.

Dama, znudzona już widać, wydobyła z kantorka wielką dziesiątkę i doręczyła ją mężowi, który wyszedł ze sklepu mrucząc:

— Każdy chce brać na kredyt u mnie, a za pieniędzmi to ty sam lataj!..

— Jędruś! — rzekła majstrowa do głuchego chłopca, a wyjrzyj no oknem, gdzie to pan poszedł?..

Chłopak stanął przy szybie i popatrzywszy jakiś czas, nagle parsknął śmiechem.

— Cóż tam znowu?... — zapytała dama.

— A bo proszę pani majstrowej, pan majster pokazuje, że mi da kopsa! — odparł chłopak zatykając rękami usta.

— A gdzież poszedł?

— Jużci, że do dziurki!... Tam teraz świeże piwo przywieźli.

— Śmirus!.. wałkoń!... — lamentowała dama. — Żeby on tak chodził często do kościoła, jak na bawaryę, toby go żywcem do nieba wzięli. Skończywszy te sentencye ziewnęła, zamyśliła się, a potem zawołała na chłopca:

— Jędrek!..

— Słucham pani majstrowej?...

— A skocz no po kufelek piwa i rachuj który, bo oni nas zawsze okpiwają.

Gdy chłopiec piwo przyniósł, pani majstrowa wypiła je duszkiem i zamknąwszy oczy przysiedziała tak z pół godziny. Potem zaś, zwróciła się do Jasia i mówiła zwolna:

— Tak! tak! mój kawalerze... choć masz edukacyę, oddali cię do rzemiosła. Ze mną było to samo: mogłam wyjść za urzędnika, a wyszłam za krawca... Siedzę też teraz za kontuarem i świecę ludziom oczami... Tak to, tak!... Jędruś!...

— Słucham pani majstrowej!... — odparł drzemiący chłopak.

— Skocz no po kufelek piwa!.. A który to już idzie?

— Dziewiąty, proszę pani majstrowej.

— Jakto dziewiąty?... liczyłam przecież po szybach i jeszcze mi jedna została.

— Ale dziewiąty, proszę pani majstrowej!... — twierdził zuchwale chłopak, choć w tej chwili miał uszy bardzo czerwone i wejrzenie ponure.

Do takiego to majstra wszedł Jaś „na poprawę.“ Z początku trzymano go w sklepie, później jeden dzień siedział w sklepie, drugi na górze w warstacie.

Główem zajęciem jego było: chodzenie za sprawunkami i odnoszenie posyłek, niekiedy kazano mu przyszywać metalowe guziki do tej części ubrania, którą brzydzili się sankiuloci, niekiedy zaś polecano bawić dzieci, których państwo Durscy mieli dwoje. Że zaś jedno z nich nazywało się Jasiem, naszego więc małego przyjaciela dla odróżnienia nazwano Jaśkiem. Sierota prędko zniechęcił do siebie całe swoje nowe otoczenie. Według zwyczaju, pan majster, zamiast śniadania, dawał chłopcom po sześć groszy. Chłopcy pieniądze te składali razem i kupowali sobie wódkę i bułki; a ponieważ Jaś wódki pić nie chciał, terminatorzy więc znienawidzili go „za ambitność.“

Znacznie gorsze było to, że nie lubiła go pani majstrowa.

Wszyscy chłopcy za obiady i kolacye całowali ją w rękę; chudy Jędruś robił to częściej nawet niż inni, Jaś tylko się kłaniał!

— Jaki mi, z pańskiej psiarni!.. — mawiała często pani majstrowa. — Dla tego, że niby to uczył się po francusku, to mnie już w rękę nie może pocałować... fąfel!...

Potem zaś wysapawszy się, wołała:

— Jędrek!

— Słucham pani majstrowej! — odpowiedział chłopak, obcierając oczy.

— Skocz no po kufelek piwa... a tylko mi tam dobrze rachuj, bo oni strasznie oszukują.

U majstra Jaś także nie miał łaski.

— Co on sobie myśli ten błazen?... — oburzał się nieraz pan Duurski.

U niego czeladnik pan, ja pan i wszyscy panowie... Jakby był udzielnym księciem, a nie przybłędą! I często gromił Jasia, a jak obecnie Jaśka, któremu znowu tytuły: „pan majster“ i „pani majstrowa“, z trudnością przechodziły przez gardło.

Pan Kalasanty nie tylko nie lubił, ale nawet z pewnego rodzaju wzgardą spoglądał na sierotę. Majster miewał ciągle interesa do miasta, skutkiem czego ciągle trzeba go było szukać. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, wszystkie te sprawy, mające na celu podniesienie krajowego przemysłu, koncentrowały się w pobliskiej bawaryi, gdzie też chłopcy z całą łatwością odnajdywali swego przewodnika i chlebodawcę, zawsze przy tym samym stole i kuflu.

Pewnego dnia, Jaś został wydelegowany do sprowadzenia z bawaryi pana Durskiego. Chłopiec poszedł tam i znalazł opiekuna w nader wesołem towarzystwie ludzi statecznych.

— Oho, patrzcie! — zawołał majster, ujrzawszy go. — To ci panie chłopiec!... On ci panie nawet po francusku gada, kiedy chce, a przecież do mnie oddali go na edukacyę.

— Fiu!... fiu!... — zagwizdał jeden z obecnych, który miał minę senatora a wyglądał na rzeźnika.

— Nie wierzycie? — zapytał majster, usiłując utrzymać się z godnością na krzesełku. — Powiedz zaraz chłopak, jak się mówi po francusku: piwo, wódka, albo... surdut?...

Gdy zawstydzony Jaś wyrazy te przetłumaczył, majster zapytał z kolei:

— Pocóżeś tu przyszedł?

— Pani prosi pana do sklepu!

— „Nie głupim!..“ — odparł skwaszony nieco pan Kalasanty. — Powiedz, że ja odejść nie mogę, że mam tu interesa.... że tu jest jeden kupiec z Petersburga, co robi u mnie obstalunki!...

Obecni buchnęli śmiechem, pan majster zaś rzekł, podając Jasiowi kufel:

— No! masz... napij się, a gadaj, jak ci powiedziałem.

Jaś podziękował za piwo, a pan majster aż skoczył z zadziwienia.

— Nie pijesz piwa?.. — krzyknął. — Ej! Zośka... daj temu małemu kieliszek anyżówki!... On widzę wybredny!... dopiero pozna co to smak...

Jaś i za anyżówkę podziękował i prędko wrócił do sklepu, gdzie pani majstrowa z całą łatwością wybadała go, że jej małżonek pije piwo i że zasłania się jakimś petersburskim kupcem.

Pan Durski, dowiedziawszy się o tem, aż plunął z gniewu.

— Nic z niego nie będzie! — mruczał. — Nie zna się na piwie i plotki roznosi!..

Wśród tej zgrai niechętnych, Jaś znalazł jednak przyjaciela w osobie czeladnika Panewki. Pan Ignacy Panewka, był to człeczyna młody, przysadzisty, niezgrabny, z wielką głową ozdobioną prostemi jak druty włosami, pałkowatym nosem i wypukłemi oczyma. Pracował okrutnie i on to utrzymywał warstat Durskiego, a że krajał jak nikt w Warszawie, śpiewali więc o nim chłopcy:

Pan Panewka
Psia podszewka,
Kraje jak Szabu,
A głupi jak but.

Ponieważ nie miał rodziny (przed dwudziestu kilkoma laty bowiem spadł z deszczem około szpitala Dzieciątka Jezus), przywiązał się więc do swego majstra i pomimo częstych kłótni, siedział u niego od lat kilku. Dzień, w którymby Ignacy na dobre rozdzielił się z Durskim, byłby ostatnim dla warstatu, sklepu i reputacyi znakomitego krawca.

Pan Panewka był osobliwym człowiekiem. Nie miał on ani rozumu, ani ukształcenia, lecz jakiś dziwny instynkt, który go popychał do sympatyzowania i naśladowania tych, których uważał za doskonalszych od siebie. Na nieszczęście, ideały owe były mniej niż skromne. Jeden z nich nosił włosy rozpołowione na przodzie i rękawiczki wątrobiastego koloru, i otóż pan Ignacy nie używał odtąd innych rękawiczek i nie czesał inaczej głowy. Ktoś drugi imponował mu siłą i awanturniczym duchem; wnet zatem Panewka zapragnął mu dorównać, porwał się na jakiegoś drągala, został przez niego sromotnie pobity i w dodatku poszedł na parę dni do kozy.

Ponieważ Durski miał przysłowie „panie“ i mógł wypić od razu kilkanaście kufli, więc i nasz Panewka, mówił: „panie“ i cały zarobek przepijał. Usłyszawszy raz, że ktoś tam zjadł dwanaście jaj na twardo, idealista nasz postanowił spróbować tej samej sztuki i dostał zapalenia kiszek, z którego ledwie się po paru miesiącach wylizał.

Na tej nierozwiniętej a tak gwałtownie wydzierającej się ku lepszemu duszy, sierota zrobił ogromne wrażenie. Panewka znowu zapragnął go naśladować. Ponieważ Jaś był ładny, pan Ignacy zatem całe godziny spędzał przed lustrem, badając: o ile jego pałkowaty nos, szerokie usta i kanciaste policzki, czynią go podobnym do miłego chłopczyny?.. Jaś nosił włosy krótkie i wnet Panewka ostrzygł głowę przy samej skórze, uwydatniając tym sposobem swoje wielkie i obstające uszy. Jaś tytułował Durskiego tylko: „panem“, i otóż Ignacy począł mówić: „panie“ i „pani“, zamiast jak dotychczas: „panie majstrze“ i „pani majstrowo“. Że jednak reformy te szły mu jakoś niezgrabnie, wyśmieli go więc wszyscy, nieboraka, a Jaś wnet od pana Kalasantego za uszy dostał.

„Szukajcie królestwa Bożego“ — mówi Pan: Ignacy szukał go, lecz znaleść nie umiał. Czuł on, że jaja na twardo nie zrobiły go doskonalszym, ani ostrzyżenie włosów podobnym do Jasia; co gorsza, nie wiedział nawet jakie przymioty chłopca czyniły go tak sympatycznym?

Pewnego razu, gdy byli sami, zapytał sieroty:

— Widziałeś ty kiedy człowieka uczciwego na świecie?... Ale takiego, że to nu!...

— Oj! oj! — odparł Jaś potakująco.

— Któż to taki?

— A pan Anzelm i... i moja mama — dodał ciszej.

— Cóż oni takiego zrobili?

— Oni wszystko dobrze robili!... — odpowiedział chłopiec.

„Wszystko dobrze robili!..“ W tem to i sęk. Panewka też dobrze robił... krawiecczyznę, ale o reszcie dobrych czynów nie wiedział. W pierwszej chwili chciał nawet zapytać Jasia: co to znaczy robić dobrze? Ale przyszło mu na myśl, że jest przecie czeladnikiem, a Jaś terminatorem, dał więc pokój. Odtąd jednak coś go trapiło we wnętrzu i czy się ubierał, czy krajał, czy pił, zawsze myślał o tem: co to znaczy robić dobrze, ale tak dobrze, że to nu!.. Niepokaźny ten i ordynaryjny chłopak był ową ziemią, która oczekiwała rosy niebieskiej.

„Szukajcie królestwa Bożego!“

Innym razem Panewka słyszał, jak Jędruś mówił do chłopców:

— Ten podły Jasiek psuje nam tylko interesa! Nie chce nic brać od kundmanów za odnoszenie, a jak co wytarguje na mięsie, to majstrowej oddaje. Lizus!..

Błyskawica oświetliła ciemny umysł Panewki, przeczuł on, że owo oddawanie pieniędzy majstrowej, należeć musi do czynów dobrych.

Ponieważ na drugi dzień przypadała niedziela, pan Ignacy więc (który nie mieszkał u Durskiego), wybrał się z wizytą do Jasia. Zastał go na strychu, gdzie wszyscy terminatorzy sypiali.

Po krótkiej pogadance wstępnej, która się ciągle urywała, czeladnik zapytał nagle chłopca:

— Dla czego ty sobie nie bierzesz *koszykowego*, głupi?... Miałbyś przecie trochę pieniędzy własnych.

— Ja kraść nie chcę! — odparł z oburzeniem sierota.

— Głupi! głupi!.. — mruczał zmięszany Panewka, usiłując miną nadrobić. — Przecież co w jatce utargujesz to twoje.

— Co to, to chyba nie! — odpowiedział Jaś. — Jeżeli się tylko kryć z czem potrzeba, to już jest źle.

Ignacy oparł wielką swoję głowę na rękach i po długiem milczeniu zapytał:

— No, a jeśliby kto brał tak: guziki, igły, nici albo kawałek aksamitu, to także źle?...

— Rozumie się! przecież to złodziejstwo.

Czeladnik wyprostował się jak sprężyna; przeszedł się parę razy po strychu i począł mówić:

— Głupstwo!.. Jak będziesz brał choćby igły i nici z warstatu, to ci fuszerka taniej wypadnie i możesz pójść czasem na Pragę, a czasem do teatru. A jak nie będziesz brał, to i nic nie zarobisz i jeszcze cię inna czeladź durniem nazwie. Co ci z tego przyjdzie, że majstrowi jakiś tam kawałek podszewczyny, albo kortu zostanie?..

— Będę wiedział o tem, że robię dobrze... Niech tam sobie inni gadają co chcą! — odpowiedział Jaś krótko.

Nowa błyskawica olśniła Ignacego. Do tej pory sądził on, że tylko to jest dobre, co ludzie chwalą, teraz poznał, że nad opinię ludzką istnieje wyższy probierz, własne przekonanie o dobrem. Nie można powiedzieć, aby o probierzu tym nie słyszał nigdy; dziś jednak pod wpływem przywiązania do sieroty, poczuł i zrozumiał jego wartość. Odtąd był to już inny człowiek, a w ciągu paru następnych tygodni, pan Durski przekonał się, że mu w warstacie jakoś mniej materyału wychodzi.

Innej niedzieli pan Kalasanty znowu wyszedł „za interesem,“ a pani Kalasantowa znowu wysłała Jasia, aby jej męża wyszukał. Chłopiec wprost udał się do bawaryi i przy zwykłym stole zobaczył Panewkę i Durskiego, który zawzięcie dysputował z jakimś nieznanym jegomością.

— Stawiam w zakład dziesięć kufli piwa, że prawda!... — wołał zaperzony majster.

— Trzymam! — odparł z uśmiechem jegomość.

W tej chwili pałające spojrzenie Durskiego padło na Jasia, krzyknął więc:

— On nam powie, to chłopak z edukacyą!.. No powiedz mi zaraz, tylko nie zełżyj, czy można do Ameryki końmi dojechać?..

— Ale gdzież tam! — odparł Jaś śmiało. — Przecież Ameryka leży za oceanem. A...

Nie dokończył, majster bowiem chwycił go za kołnierz i wyrzucił za drzwi mrucząc:

— On mi tu będzie jeszcze gadał!.. Przecież nieraz czytałem o herbacie lądowej, gdyby zaś Ameryka...

Ale i on nie dokończył, przerwał mu bowiem kipiący z gniewu Panewka:

— Co mi pan majster będziesz chłopaka jak psa za drzwi wyrzucał?... Co to, czy on pański syn?... — I pogroził mu pięścią.

Podchmielony majster nieco otrzeźwiał.

— A ty mi jakim prawem będziesz wygrażał?... — krzyknął. — A tyś co za jeden... skórko na buty... hę?...

Nie wiele już brakowało do tego, że się za krawaty chwycić mieli. Szczęściem rozbrojono ich i odprowadzono na bok rozjuszonego czeladnika, który wciąż wołał:

— Już ja u ciebie śmirusie robić dłużej nie będę!.. A jak mi chłopca skrzywdzisz kiedy, to cię tak *wystebnuję*, że z ciebie nawet kotletów nie wykroją!..

Był to dzień fatalny, pan Durski bowiem nie tylko przegrał dziesięć kufli piwa, ale jeszcze miał stracić czeladnika, swoją prawą rękę w warstacie i handlu! Myśl ta otrzeźwiła go zupełnie, wrócił więc smutny do domu i spać się położył.

W poniedziałek Ignacy od razu nie przy-

szedł do roboty, majster więc zastępować go musiał na górze, upomniawszy żonę, aby dała mu znać natychmiast, skoro się zjawi Panewka. Nareszcie tak niecierpliwie oczekiwany czeladnik przybył koło dziewiątej, żądając ukończenia rachunków i dziękując uroczyście za miejsce.

W tej chwili Jędrek poleciał do warsztatu, a pani Durska odezwała się płaczliwym głosem:

— E też to znowu panu Ignacemu do łba strzeliło?... Rzucać nas, takich przyjaciół, takich... co to żebyś pan z latarnią szukał, nie znajdziesz na całym świecie!

Panewka milczał.

— No, panie Ignac, szoruj pan na górę!.. stary kazał na przeprosiny kupić anyżówki pół kwarty, no!..

Ponieważ w tej chwili usłyszano krzyk jakiś w podwórzu, majstrowa więc i czeladnik wyszli do sieni. To Durski wołał z ganku drugiego piętra:

— Ignaś! Ignaś psia wiaro!... *kim* na górę!.. palniemy sobie po kieliszku...

— Nie chcę!... — odpowiedział tym samym głosem czeladnik, otrząsając się gniewnie.

— Aaa!.. Jakiż z ciebie Ignaś, mój ty Ignaś!... — wołał znowu majster. — No, chodź że do mnie!.. Ja już zeszedłem na pierwsze piętro, chociażem majster i mógł bym być twoim ojcem... Chłopcy!... a weźcie się do niego...

Po tych słowach, zbiegli ze schodów z wielkim łoskotem dwaj najsilniejsi terminatorzy, a jednocześnie z ganków i okien poczęli lokatorowie wyglądać. Lecz choć chłopcy wzięli go pod oba ramiona, a otyła Durska poczęła z całych sił rękami i głową podpierać mu plecy, uparty Panewka ani drgnął. Dopiero gdy Jaś przybiegł do niego i słówko szepnął, czeladnik zmiękł od razu i milcząc poszedł do roboty.

Teraz już wszyscy poznali, jak wielką władzę ma nad Ignacym sierota i znienawidzili Jasia jeszcze bardziej. (C. d. n.)

TRZY BITWY I ŚMIERĆ WODZA.

I. Bitwa pod Rajgrodem w 1831 r.

(*Ciąg dalszy.*)

Wskutek bitwy wygranej pod Ostrołęką Moskale owładnęli dawną podstawą działań swoich, doliną Narwi, opuszczoną w czasie błot wiosennych i rozlewu rzek.

Feldmarszałek Dybicz, dowiedziawszy się o odwrocie armii polskiej z pod Ostrołęki, skierował natychmiast korpus hr. Palena i 3 grenadyerską dywizyą do Myszenic między rzeką Skwirą i Omulewem, żeby nie dopuścić dywizyi Giełguda połączyć się z głównemi siłami wzdłuż pruskiej granicy idącemi przez Przasnysz na Mławę. Dybicz miał nadzieję dywizyę tę zamknąć między oddziałem jenerała Sakena, zajmującego Rajgrod, pruską granicą i Narwią. Na wypadek zaś gdyby Giełgud zamyślał skierować się przez Grodno ku Wilnu, rozkazał jenerałowi Kurucie z częścią gwardyi z Tykocina wyruszyć do Grodna.

Gdy się robiły wszystkie te rozporządzenia, Giełgud jeszcze nic nie wiedział o przegranej pod Ostrołęką, i mając przed sobą słaby oddział Sakena, zdecydował się zgnieść go. Wystąpiwszy więc rano 24. maja, ku wieczorowi przybył do Stawiszek, na pół drogi między Palenem i Sakenem, gdzie go właśnie dopędził Dembiński, przynosząc rozkaz głównodowodzącego wyruszenia na Litwę.

Następnego dnia dywizya już była w Szczuczynie, a zatem rozporządzenia hr. Dybicza nie mogły przeszkodzić Polakom uprzedzić Moskali w Grodnie, tem więcej że dopływy górnej Narwi, które rozlały ogromnie w tym czasie, zmuszały jenerała Kurutę do wielkich okrążań, a więc przy największym pospiechu nie mógł przyjść do Grodna wcześniej od Polaków, gdyby tylko chcieli wyruszyć w tym kierunku.

Obóz Polaków był ogromny, gdyż obok fur wiozących wojenne ciężary, każdy oficer miał po kilka wózków na rzeczy, tak że korpus Giełguda wyglądał jak oddział, zasłaniający wielki transport. Dembiński więc prosił Giełguda, żeby rozkazem dziennym wyznaczył, ile wozów mógł mieć każdy oficer, a resztę kazał rzucić. Jak tylko rozkaz dzienny wyszedł, chcąc dać przykład, Dembiński kazał spalić swoje własne wozy, zostawiając sobie tylko jeden; lecz zaledwo jedenastu oficerów spełniło polecenie; inni zaś nie posłuchali i Giełgud nie miał dość charakteru, żeby zmusić do spełnienia swej woli.

28. maja oddział Giełguda przybył do Grajewa, miasteczka oddalonego o dwie mile od Rajgrodu, gdzie stał Saken. Ruchem w prawo można było obejść Sakena i wyruszyć przez Grodno do Wilna, lecz mając możność zniszczyć ten słaby oddział, nie podobna było nie skorzystać ze swego położenia i łatwem zwycięstwem nie postarać się podnieść ducha wojsk, otaczając się sławą zwycięzców.

Saken miał pod swem dowództwem $7^3/_4$ batalionów piechoty, 4 szwadrony kawaleryi, 3 setki kozaków i 14 armat, co stanowiło ogółem do 5.500 ludzi. Wyparty przez Giełguda z Łomży, Saken odstąpił do augustowskiego województwa, a nie otrzymawszy żadnych instrukcyi 23. maja zatrzymał się pod Rajgrodem, zająwszy bardzo silną pozycyę na wzgórzach z południowej strony miasta, mając przed sobą rzeczkę Jegrzną, łączącą dwa jeziora: Rajgrodzkie czyli Czarne i Drentstwo. Jezioro Drentstwo można było obejść po wązkiej i niedogodnej drożynie, idącej od miejsca zwanego Woźnawieś. W prawo od tego miejsca ciągną się błota górnej Biebrzy; o pół mili przed Rajgrodem ścieli się wielki las. Saken postawił około Woźnejwsi dwa bataliony piechoty z 4 działami i 80 kozakami; resztę zaś wojsk około miasta. Ponieważ Jegrznę można było przejść w dwóch miejscach a mianowicie w Rajgrodzie i we wsi Wajda, leżącej tuż około miasta, moskiewski jenerał kazał na pierwszej drodze około mostu usypać redutę i wznieść palisady dla strzelców, a na drugiej most rozebrać, a bród zepsuć: oprócz tego obok brodu urządzić blokhauz dla strzelców. Pozycya choć zbyt długa na tak małą ilość wojsk, była jednak silna i Saken mógł na niej powstrzymać trzykroć silniejszego nieprzyjaciela.

Jak powiedziałem wyżej, do przyjazdu Dembińskiego awangardą Giełguda dowodził pułkownik Sierakowski. Idąc za Moskalami po odstąpieniu ich z Łomży Sierakowski próbował kilka razy wybić ich z zajętej pozycyi, lecz każdego razu zmuszonym był do odwrotu ze stratą znaczną. Jednak częste te utarczki oznajomiły go z pozycyą pod Rajgrodem; radził więc Giełgudowi, zamaskowawszy atak swój z frontu, większą część sił swych posłać w prawo od szosy na Woźnąwieś, żeby zajść z tyłu Sakenowi. Uparty Giełgud nie chciał słuchać rady młodszego, lecz pojąwszy słuszność tego sposobu działania, rozkazał Zaliwskiemu z jego małym oddziałkiem powstańczym zaatakować wojska około Woźnejwsi stojące.

W nocy 29. maja Saken otrzymał wiadomość od wielkiego księcia Konstantego, że polska armia rejteruje się wszędzie i rozkaz zająć Łomżę na nowo i ufortyfikować się tam. W tymże czasie rząd pruski, który szpiegował co się dzieje w Polsce i donosił Moskalom, uwiadomił go o przegranej przez Polaków bitwie i o odwrocie ich ku Sierockowi. Wiedząc o słabości sił oddziału Sierakowskiego, Saken postanowił rozbić go zupełnie, lecz żeby nie pozwolić najmniejszej części wojsk polskich wkroczyć do Litwy, zostawił część wojsk swoich pod Rajgrodem a mianowicie: dwa bataliony z 4 działami i około Woźnejwsi dwa bataliony, 80 kozaków i 4 działa, a z resztą sił wynoszących $3^3/_4$ batalionów piechoty, 4 szwadrony kawaleryi i 6 dział wystąpił do Grajewa.

Zaledwo Saken przeszedł pół mili, zetknął się z awangardą Dembińskiego, który objął dowództwo dawnych swych wojsk. Naprzeciw dwóch dział postawionych na szosie, Dembiński postawił dwa swoje i zauważywszy że Saken całą swą piechotę zbiera na prawem skrzydle, mając zamiar odrzucić przeciwnika na jezioro Drentstwo, piechocie swej kazał stanąć na lewem skrzydle, wysławszy w prawo jedną tylko kompanię dla ubezpieczenia tego skrzydła od niespodziewanego ataku. Moskale poszli na bagnety, zbili polskie bataliony z pozycyi i zaczęli podchodzić ku miejscu, gdzie stały działa; lewe skrzydło było już obsaczone, a kule dolatywały do rezerwy Dembińskiego. Wtedy to polski jenerał, korzystając z maleńkiej łąki w lesie, rozwinął na niej część swojej kawaleryi i wysunął z lasu jeszcze dwa zostające mu działa. Pojawienie się tych nowych sił zmusiło moskiewską piechotę zatrzymać się i zacząć tyralierkę; dwa zaś moskiewskie działa nie mogąc utrzymać się pod krzyżowym ogniem polskiej artyleryi, zeszły z pozycyi. W tej chwili cały korpus Giełguda nadszedł na pomoc Dembińskiemu

Lewe skrzydło, składające się z piechoty w kolumnach do ataku, prowadził Roland, prawe pułkownik Kos, w środku stanęło 10 armat pułkownika Piętki, które natychmiast odkryły kartaczowy ogień.

Jenerał Saken, zapóźno spostrzegłszy, iż się natknął na przeważne siły polskie, rozkazał oddziałowi swemu odstępować ku Rajgrodowi. Giełgud zamiast starać się o jak najprędsze owładnięcie miastem i o odcięcie Moskali od ich podstawy, wszystkie siły owe zebrał przeciw prawemu skrzydłu Moskali i parł ich w kierunku odwrotu. Postrzegłszy tę omyłkę Dembiński, posłał rozkaz swej kawaleryi ruszyć po szossie, lecz rozkazu tego spełnić było niepodobna, bo Giełgud większą jej część posłał w lewo. Nie doczekawszy się powrotu adjutantów, Dembiński rzucił się sam żeby przyspieszyć ruch ten, lecz znalazł tylko ostatni szwadron Płockiego ułańskiego pułku, który, rzuciwszy szossę, kłusem dążył w kierunku strzałów armatnich.

Sądząc że szwadron nie chce słuchać rozkazu jego, Dembiński dopędziwszy go, rzekł:

„cóż to panowie, nie chcecie iść tam, gdzie grozi niebezpieczeństwo?“ Obrażony słowami temi szwadron wstrzymał się i wszyscy żołnierze zawołali, żeby ich prowadził. Dembiński zakomenderował „trójkami od prawego skrzydła galopem“ i skierował ich po szosie.

W tej chwili półbatalion moskiewskich grenadyerów, pod dowództwem pułkownika Tiugriumowa, zająwszy pozycyę przed miastem zasłaniał rejteradę reszty wojsk, które w największym nieładzie pospiesznie dążyły ku miastu. Dembiński, podprowadziwszy szwadron swój na pół pistoletowego strzału, kazał mu rzucić się na Moskali. Atak był świetny; grenadyerzy byli zbici i stratowani a szwadron wleciał do miasta.

Widząc nieprzyjaciół już w mieście, prawe skrzydło Sakena, przyparte do jeziora w liczbie 1 pułkownika, 16 młodszych oficerów i 1200 żołnierzy, złożyło broń. Pułkownik Tiugriumow, z niezmierną trudnością zebrawszy oddział swój rozproszony przez polską kawaleryę, zaczął go znowu ustawiać u wchodu do miasta. Dembiński chcąc przeciąć odwrót Sakenowi i bojąc się żeby strzelcy moskiewscy, zająwszy domy w mieście, nie zniszczyli całego szwadronu, który tam wpadł, udał się do Rolanda, upraszając przyspieszyć marsz i zająć miasto. Lecz już było za późno.

Dowiedziawszy się, że prawe skrzydło złożyło broń i zoczywszy zbliżanie się nieprzyjacielskiej piechoty, Tiugriumów przyłączywszy różnych niedobitków przeszedł przez miasto i przez most za rzekę Jegrzną, gdzie Saken urządzał swe rozbite wojsko. Szwadron wyszedł z miasta, straciwszy trzecią część w zabitych i rannych. Dowódca szwadronu major Mycielski był ranny śmiertelnie. Dembiński ze łzami w oczach prosił go o wybaczenie za słowa obrazy, któremi dotknął szwadron jego przed atakiem. „Jenerale—rzekł Mycielski—ja umieram, napisz do mojej matki, żem spełnił obowiązek i spłacił dług mój ojczyźnie“. (Dok. nast).

HEKTOR SERVADAC

PRZYGODY W PODRÓŻY PO ŚWIATACH SŁONECZNYCH

przez

JULIUSZA VERNE'A.

CZĘŚĆ DRUGA.

(*Ciąg dalszy*).

ROZDZIAŁ XIII.

W którym kapitan Servadac i jego towarzysze czynią jedyną rzecz, jaka im pozostawała do zrobienia.

Gallijczycy przepędzili resztę nocy, to jest kilka godzin, które dzień poprzedzały, w niewymownej trwodze. Palmiryn Rosette, wygnany zimnem ze swego obserwatoryum, musiał schronić się do galeryi Ula Niny. Była to może jedyna pora do zapytania go, czy obstawał przy myśli podróżowania po świecie słonecznym na swoim niegościnnym planecie; ale bez wątpienia odpowiedziałby twierdząco. Do jakiego stopnia był wściekłym, to się nie da opowiedzieć.

Jednocześnie z nim Hektor Servadac i jego towarzysze mieli szukać schronienia w najgłębszych galeryach skały. W wielkiej sali tak szeroko otwartej na wolne powietrze, nie można było już mieszkać. Już wilgoć na jej ścianach zamieniała się w kryształy, a gdyby nawet udało się zatkać obszerny otwór, zasłonięty dotychczas firanką lawy, to i tak temperatura byłaby nie do wytrzymania.

W głębi ciemnych galeryi jeszcze się trochę ciepła rozchodziło. Jeszcze się nie była ustaliła równowaga pomiędzy zewnętrznem a wewnętrznem powietrzem, ale to musiało wkrótce nastąpić. Czuć było, że cieplik się powoli wycofywał. Góra była jakby trupem, którego krańcowe członki oziębiają się, podczas gdy serce opiera się jeszcze zimnu śmierci.

— Otóż — zawołał kapitan Servadac — zamieszkamy w samem sercu góry!

Nazajutrz zgromadził swoich towarzyszy i przemówił do nich w te słowa:

— Moi przyjaciele, cóż nam zagraża? Zimno, ale tylko zimno. Mamy żywności, która nam wystarczy na dłużej, jak na naszą przejażdżkę na Gallii, a nasze konserwy dość obfite, abyśmy się mogli obyć bez paliwa. Otóż, co nam potrzeba do przetrwania tych kilku miesięcy zimy? Trochę ciepła, którego nam natura dostarczała gratis. Jest rzeczą więcej niż prawdopodobną, że to ciepło istnieje we wnętrznościach Gallii, i tam go pójdziemy szukać!

Te słowa pełne ufności dodały ducha tym dzielnym ludziom, z których niejeden już zaczął wątpić o ratunku. Hrabia, porucznik Prokop i Ben-Zuf uścisnęli rękę, którą do nich kapitan wyciągnął, a ludzie ci nie byli bliscy upadku ducha.

— Mordieux, Nina — powiedział Servadac patrząc na małą dziewczynę — nie będziesz się bała zejść w głąb wulkanu.

— Nie, mój kapitanie — odpowiedziała rezolutnie Nina — szczególnie jeśli Pablo będzie nam towarzyszył!

— Pablo nam towarzyszy! To dzielny chłopiec! Niczego się nie boi! Nie prawdaż, Pablo?

— Pójdę za panem, gdziekolwiek pójdziesz, panie gubernatorze — odpowiedział chłopak.

Po tych słowach nic nie pozostawało, tylko zabrać się do roboty.

Nie można było myśleć o dostaniu się do wulkanu przez wyższy krater. Wskutek wielkiego obniżenia się temperatury nie można było iść po pochyłościach góry. Noga na śliskich stokach nie znalazłaby żadnego punktu oparcia. Konieczność więc nakazywała dostać się do centralnego komina przez masę skalistą, i to dostać się co prędzej, gdyż straszliwe zimno już opanowywało najgłębsze zakątki Ula Niny.

Porucznik Prokop, zbadawszy rozkład wewnętrznych galeryi, ich położenie w łonie samej góry, zawnioskował, że jeden z wąskich kurytarzy powinien się był kończyć w pobliżu komina centralnego. Tam w istocie, gdy lawa pod naciskiem pary podnosiła się, uczuwano, jakby „sączenie się“ cieplika przez ściany. Widocznie substancya mineralna, z której się góra składała, była dobrym przewodnikiem ciepła. Otóż, przebiwszy tam galeryę na długość siedmiu do ośmiu metrów, spodziewano się dostać do dawnego komina lawy i znaleść może łatwe zejście.

Zabrano się natychmiast do roboty. W tej okazyi majtkowie pod przewodnictwem swego porucznika okazywali dużo zręczności. Motyka i drąg okuty nie wystarczały do wkopania się w ten twardy materyał. Potrzeba było wiercić dziury w skale i wysadzać ją za pomocą prochu. Tem szybciej szła praca i we dwa dni była doprowadzoną szczęśliwie do końca.

W przeciągu tego krótkiego czasu koloniści musieli straszliwy chłód znosić.

— Jeżeli nie można będzie zejść do głębi skały—powiedział hrabia—żaden z nas nie zdoła wytrzymać, i będzie to zapewne koniec kolonii gallickiej!

— Hrabio — odpowiedział kapitan Servadac — czy ufasz pan Temu, który może wszystko?

— Tak, kapitanie, ale może on dzisiaj chcieć tego, czego nie chciał wczoraj. Nie nam sądzić jego wyroki. Dłoń jego była otwartą. Teraz zdaje się zamykać.

— Tylko do połowy — odpowiedział kapitan Servadac. — To tylko próba, w której chce doświadczyć naszej odwagi. Coś mi powiada, że nie jest rzeczą prawdopodobną, aby wybuch wulkanu ustał wskutek zupełnego wygaśnięcia wewnętrznych ogni Gallii. Bardzo być może, że to wstrzymanie wylewu na zewnątrz jest tylko chwilowe.

Porucznik Prokop poparł zdanie kapitana Servadaca. Może inne ujście wybuchowe otwarło się na jakimkolwiek innym punkcie komety i może lawa popłynęła tą nową drogą. Wiele przyczyn mogło zmodyfikować okoliczności, którym zawdzięczano wybuch, a mimo to substancye mineralne w łonie Gallii mogły i nadal łączyć się chemicznie z tlenem. Ale niepodobna było wiedzieć, czy można będzie zejść aż do tego miejsca, gdzieby temperatura pozwalała niedbać o zimno zewnętrzne.

Podczas tych dwóch dni Palmiryn Rosette nie brał udziału ani w rozmowach, ani w robotach. Chodził tędy i owędy, jak duszą w czyśću, mało mająca rezygnacyi. Sam sobie ustawił lunetę w wielkiej sali, nie zważając na to, co o tem mówiono, i kilka razy w dzień i w nocy stawał przy lunecie i obserwował niebo, aż póki nie zmarzł literalnie. Powracał wówczas klnąc Ziemię Gorącą, i powtarzając, że jego Formentera dałaby mu była więcej środków ocalenia.

Ostatnie uderzenie motyki nastąpiło dnia 4. stycznia. Można było słyszeć, jak się kamienie potoczyły wewnątrz komina centralnego. Porucznik Prokop zauważał, że nie spadały pionowo, ale raczej zdawały się toczyć po ścianie wewnętrznej, uderzając się o występy skaliste. Komin więc wewnętrzny musi być pochylony, a zatem łatwiejsze zejście w jego szyi.

Uwaga ta była trafną.

Jak tylko otwór był tak obszerny, że człowiek mógł przeleść, porucznik Prokop i kapitan Servadac, poprzedzani przez Ben-Zufa, który niósł pochodnię, puścili się w głąb komina centralnego. Komin miał kierunek ukośny z pochyłością co najwięcej czterdziestu pięciu stopni. Można więc było schodzić, nie narażając się na upadek. Zresztą ściany były porysowane rozmaitemi skalistemi pręgami, wydrążeniami, a pod popiołem, który to wszystko pokrywał, noga czuła twardy punkt oparcia. Główna rzecz, że wulkan był świeży. W istocie wybuch mógł powstać tylko wskutek starcia się Gallii z częścią atmosfery ziemskiej i ściany nie były przetrawione lawą.

— No, a teraz schody — powiedział Ben-Zuf. — Bagatelka!

Kapitan Servadac i jego towarzysze zaczęli ostrożnie schodzić. Wiele stopni, mówiąc słowami Ben-Zufa, brakło tym schodom. Po pół godzinnem schodzeniu takiem, w kierunku południowym, znaleźli się na głębokości pięciuset stóp. W ścianach komina centralnego były tu i ówdzie obszerne wydrążenia, z których żadne nie tworzyło galeryi.

Ben-Zuf, potrząsając pochodnią, napełniał je żywem światłem. Dno tych wydrążeń ukazywało się, ale nie widać było żadnego rozgałęzienia, jak to miało miejsce na wyższem piętrze Ula Niny.

Cokolwiekbądź, Gallijczycy nie mieli wyboru. Musieli przyjąć ten środek ocalenia, jaki im pozostawał.

Otóż zdawało się, że nadzieje kapitana Servadac powinny się były urzeczywistnić. W miarę jak się zapuszczał w głąb skały, temperatura stopniowo wzrastała. Nie było to takie wzrastanie ciepła, jakie ma miejsce w zwykłych kopalniach ziemskich. Przyczyna lokalna czyniła szybszem to wzrastanie. Czuć było źródło ciepła w głębokościach gruntu. Nie kopalnia węgla, ale prawdziwy wulkan był przedmiotem tej eksploracyi. Na dnie tego wulkanu, nie wygasłego, jak się można było obawiać, lawa gotowała się jeszcze. Jeżeli dla niewiadomych przyczyn nie podnosiła się już do krateru, ażeby się wylewać na zewnątrz, to przynajmniej udzielała ciepła całemu niższemu pokładowi skały.

Termometr z żywem srebrem, zabrany przez porucznika Prokopa i barometr aneroid w ręku kapitana Servadac wskazywały i głębokość pokładów pod powierzchnią morza i stopniowy przyrost ciepła. Na głębokości sześciuset stóp kolumna merkuryusza wskazywała sześć stopni powyżej zera.

— Sześć stopni — powiedział kapitan Servadac — to nie dość dla ludzi, których zima ma uwięzić na kilka miesięcy. Idźmy jeszcze głębiej, ponieważ przypływ powietrza jest tu jeszcze bardzo dobry.

W istocie powietrze zewnętrzne napływało tu obficie z góry przez obszerny krater i z boku przez wielki otwór. Było ono jakby przyciągane do tych głębokości i przedstawiało nawet lepsze warunki dla oddychania. Można więc było bezkarnie zejść aż do punktu, gdzieby się znajdowała przyzwoita temperatura.

Spuszczono się jeszcze o czterysta stóp niżej pod poziomem Ula Niny. Głębokość tu wynosiła dwieście pięćdziesiąt metrów w stosunku do powierzchni morza gallickiego. W tem miejscu termometr pokazywał dwanaście stopni stustopniowych powyżej zera. Była to dostateczna temperatura, jeżeli nic jej nie miało zmienić.

Trzej poszukiwacze mogli się jeszcze głębiej zapuścić tą ukośną drogą law. Ale po co? Już nastawiając ucha mogli słyszeć pewne głuche klekotanie, dowód to był, że byli niedaleko centralnego ogniska.

— Zostańmy tu — powiedział Ben-Zuf. — Zmarzluchy będą mogli pójść dalej, jeśli uznają za stosowne. Ale, *nom d'un Kabyle*, co do mnie, uważam, że już zanadto gorąco.

Zachodziło teraz pytanie, czy można się było jako tako zainstalować w tej części skały.

Hektor Servadac i jego towarzysze usiedli na występie skalistym i ztamtąd przy blasku rozniecone pochodni badali miejsce, w którem się znajdowali.

Prawda nakazuje wyznać, że miejsce nie przedstawiało się bynajmniej wygodnem. Komin centralny, rozszerzając się, tworzył tu tylko coś w rodzaju głębokiego wydrążenia. Pieczara ta, co prawda, mogła pomieścić całą kolonię galicką. Ale urządzić ją w jakiś przyzwoity sposób było rzeczą bardzo trudną. Powyżej, poniżej były rozmaite zaklęsłości, które wystarczyć mogły na skład zapasów żywności, ale o osobnych pokojach dla kapitana Servadac i hrabiego nie można było myśleć. Jeszcze małą kryjówkę dla Niny można było znaleźć, ale zresztą życie musiało nieustannie być wspólne. Główna pieczara miała służyć zarazem za jadalnię, za salon i za sypialnię. Przeżywszy jakiś czas życiem królików w norach, koloniści mieli się zaryć w ziemię, jak krety, i żyć, jak one, tylko nie zasypiając długim snem zimowym.

Jednakże łatwo było oświecić tę ciemną pieczarę za pomocą lamp i latarni. Oliwy nie brakowało, gdyż ogólny magazyn posiadał jej jeszcze kilka baryłek, jakoteż pewien zapas spirytusu, który miał służyć do gotowania niektórych potraw.

Co się tyczy zamknięcia na cały czas zimy gallickiej, nie było ono bezwzględnie koniecznem. Koloniści, jak można najcieplej odziani, mogli się często ukazywać, czy to w Ulu Niny, czy na skałach wybrzeża. Zresztą potrzeba było koniecznie zaopatrywać się w lód, z którego po rozstopieniu otrzymywano wodę do wszystkich potrzeb życia. Każdy z kolei miał tę służbę do pełnienia, służbę ciężką, gdyż trzeba było wspinać się na dziewięćset stóp w górę i spuszczać się ztamtąd z wielkim ciężarem.

Nakoniec po drobiazgowem obejrzeniu zadecydowano, że mała kolonia przeniesie się do tego ciemnego lochu i tam zainstaluje się, jak można najlepiej. Jedyna pieczara miała służyć za mieszkanie dla wszystkich razem. Ale zresztą, kapitan Servadac i jego towarzysze nie mieli gorzej mieszkać od tych, co zimują w strefach podbiegunowych. Tam w istocie, czy to na pokładzie statków rybackich, czy w faktoryach północnej Ameryki, nie dzielą mieszkania na pokoje i kabiny. Urządzają poprostu jednę wielką salę, do której wilgoć nie tak łatwo przenika. Ponieważ w kątach skupiają się zwykle wyziewy, więc je przewiewano. Nakoniec pokój obszerny, wysoki, łatwiejszy jest do przewietrzania i do ogrzania, a zatem zdrowszy. W fortach całe piętro urządzają w ten sposób, na okrętach środek między dwoma pomostami.

Porucznik Prokop, oznajomiony ze zwyczajami mórz polarnych, wyłożył to w kilku słowach, i towarzysze jego zgodzili się, z konieczności zresztą, zimować na sposób polarnych wędrowców.

Wszyscy trzej wrócili do Ula Niny. Uwiadomiono kolonistów o powziętym zamiarze, na który się ci zgodzili. Zabrano się natychmiast do roboty, rozpoczynając od oczyszczenia ścian z jeszcze gorących popiołów, a potem bez zwłoki ściągano rzeczy z Ula Niny.

Nie było godziny do stracenia. Literalnie zamarzano, nawet w najgłębszych galeryach dawnego mieszkania. Sama więc sytuacya naturalnym sposobem pobudzała gorliwość pracowników i nigdy przenosiny, obejmujące kilka niezbędnych mebli, tapczaników, rozmaitych naczyń, zapasów z dwumasztowca towarów z *Hanzy*, nie odbyły się tak lekko. Potrzeba zresztą zauważyć, że chodziło tylko o to, by zejść, i że im lżejsze były pakunki, tem łatwiej je było znosić.

Palmiryn Rosette, jakkolwiek nierad z tego, musiał się także schronić do głębin Galli, ale nie pozwolił, aby tam ściągnięto jego lunetę. Prawda, że nie była ona stworzoną dla tej ciemnej przepaści i pozostawała na swoim trójnogu w wielkiej sali Ula Niny.

Daremnie by podawać nieskończone ubolewania Izaaka Hakhabuta. Była tam cała jego zwykła frazeologia. Nie było w całym wszechświecie handlarza bardziej od niego wystawionego na klęski. Wśród przytyków, których mu nigdy nie szczędzono, czuwał troskliwie nad przeniesieniem swoich rzeczy. Na rozkaz kapitana Servadac, wszystko co do niego należało, złożono osobno w dziurze, w której i sam zamieszkał. Tym sposobem czuwał nad swojem mieniem i dalej prowadził handel.

W kilku dniach dokonano nowej installacyi. Kilka latarni zdala od siebie oświecało ukośny komin prowadzący do Ula Niny. Nie brakło temu widokowi malowniczości, i w jednej z bajek z *Tysiąca i jednej nocy* byłby on zachwycającym. Wielka pieczara, służąca za mieszkanie dla wszystkich, była oświetloną lampami z *Dobryny*. W styczniu każdy już był ulokowany w tym podziemnym apartamencie i dobrze zabezpieczony od zewnętrznego zimna, które sięgało 60 stopni poniżej zera.

— Va bene! — jak mówi nasza mała Nina — zawołał Ben-Zuf — zawsze zadowolony. Zamiast mieszkać na pierwszem piętrze, mieszkamy w lochu, oto i wszystko!

A jednakże kapitan Servadac, hrabia i porucznik Prokop, jakkolwiek nie okazywali niepokoju, nie byli przecież bez obaw na przyszłość. Jeżeli kiedyś zabraknie wulkanicznego ciepła, jeżeli wskutek jakiejś niespodziewanej przeszkody Gallia opóźni się w swoim obrocie słonecznym, jeżeli w tych samych warunkach potrzeba będzie na nowo rozpocząć zimowlę, czy znajdzie się wówczas w jądrze komety paliwo, którego dotychczas brakowało? Węgiel kamienny, zabytek starożytnych lasów, zagrzebanych w epokach geologicznych i zmineralizowanych pod wpływem czasu, nie mógł istnieć we wnętrznościach Gallii. Musianoż by zwrócić się do tych materyi wybuchowych, które musiały znajdować się w głębokościach wulkanu, zanim ten wygasł zupełnie?

— Moi przyjaciele — mówił kapitan Servadac — powoli, powoli. Mamy przed sobą długie miesiące do rozważania i rozmawiania! Mordieux, byłoby to dyabelnie brzydko, gdyby nam jakaś myśl nie przyszła.

— Tak — odpowiedział hrabia — mózg podnieca się wobec trudności i znajdziemy jakiś sposób. Zresztą nie jest rzeczą prawdopodobną, ażeby nam zabrakło tego ciepła wewnętrznego przed powrotem lata gallickiego.

— I ja tak przypuszczam — powiedział porucznik Prokop. — Słychać ciągle szum wewnętrznego gotowania się. To rozżarzenie się substancyi wulkanicznych jest prawdopodobnie nie dawnem. Kiedy kometa krążył w przestrzeni, przed swojem spotkaniem się z ziemią, prawdopodobnie nie posiadał atmosfery i wskutek tego tlen mógł przeniknąć do jej głębin dopiero po swem starciu. Ztąd połączenia chemiczne, których rezultatem był wybuch. Oto co podług mnie można myśleć o tem, uważając za rzecz pewną, że robota plutoniczna w jądrze Gallii jest dopiero u swego początku.

— Tak się zgadzam z tobą, Prokopie, że daleki od obawiania się, aby wewnętrzne ciepło niewygasło, gotów jestem raczej lękać się innego wypadku, nie mniej strasznego dla nas.

— A to jakiego? — zapytał kapitan Servadac.

— Żeby, kapitanie, wybuch nie powtórzył się nagle, i nie zachwycił nas, rozłożonych obozem na jego drodze.

— Mordieux — zawołał kapitan Servadac — to mogłoby się zdarzyć!

— Będziemy czuwali — odpowiedział po-

rucznik Prokop — i to tak bacznie, że się nie damy zaskoczyć.

W pięć dni potem, 15 stycznia, Gallia przechodziła przez swój punkt odsłoneczny, to jest koniec wielkiej osi swej drogi, odległa w tym punkcie od słońca na 220 milionów mil.

ROZDZIAŁ XIV.

Który dowodzi, że ludzie nie są stworzeni do krążenia około słońca na odległości dwustu dwudziestu milionów mil.

Gallia zatem od tego dnia poczęła się zawracać na swej drodze eliptycznej i to ze wzrastającą szybkością. Wszystko, cokolwiek żyło na jej powierzchni, było teraz zagrzebane w skale wulkanicznej, wyjąwszy trzynastu Anglików z Gibraltaru.

Jak przepędzili ci ludzie, dobrowolnie pozostawszy na wysepce, tę pierwszą połowę zimy? Lepiej, bez wątpienia, jak mieszkańcy Ziemi Gorącej — takie było powszechne zdanie. W istocie nie potrzebowali oni pożyczać od wulkanu ciepła, aby je zastosować do potrzeb życia. Ich zapasy węgla i żywności były obfite. Ani pokarmu, ani paliwa nie powinno było im zabraknąć. Posterunek, który zajmowali, tęgo zbudowany, z grubemi murami z kamienia, chronił je bez wątpienia od największych obniżeń temperatury. Mając dobrze ogrzane mieszkanie, nie musieli czuć chłodu; dobrze karmieni nie doznawali głodu, i ubior ich musiał się stawać za ciasnym. Brygadyer Murphy i Major Oliphant musieli zadawać sobie najuczeńsze ciosy w arenie szachowej. Nikt więc nie wątpił, że w Gibraltarze musiało się wszystko odbywać porządnie i wygodnie. W każdym razie Anglia mogła mieć tylko pochwały dla tych dwóch oficerów i jedenastu żołnierzy, którzy pozostali wierni swemu posterunkowi.

Kapitan Servadac i jego towarzysze, gdyby im zagroziła śmierć ze zmarznięcia, mogliby się bezwątpienia schronić na wysepkę Gibraltaru. Przyszło im to na myśl. Byliby bez wątpienia gościnnie przyjęci na tej wysepce, jakkolwiek pierwsze przyjęcie pozostawiało nieco do życzenia. Anglicy nie byli ludźmi, zdolnymi opuścić bliźnich, nie podawszy im pomocy. To też w razie ostatecznej konieczności mieszkańcy Ziemi Gorącej nie wahaliby się wyemigrować do Gibraltaru. Ale byłaby to długa podróż na tem olbrzymiem polu lodowem, bez schronienia, bez ognia i może nie wszyscy z tych, coby ją przedsięwzięli, przybyliby do celu! To też ten projekt mógł być wykonany tylko w razie rozpaczliwym i naturalnie nikt nie myślał o opuszczaniu Ziemi Gorącej, dopóki wulkan wydawać będzie dostateczną ilość ciepła.

Wyżej powiedziano, że wszystko, co żyło w kolonii gallickiej, schroniło się do pieczar centralnego komina. W istocie niektóre zwierzęta musiały opuścić galerye Ula Niny, gdzieby pozdychały z zimna. Nie bez trudu sprowadzono do takiej głębokości dwa konie, jeden kapitana Servadaca, drugi Ben-Zufa; ale kapitan i jego ordynans pragnęli koniecznie zachować Zefira i Galettę i wrócić z niemi na ziemię. Kochali oni swoje biedne koniska, nie stworzone do życia w tych nowych warunkach klimatycznych. Urządzono zatem w pewnej szerokiej wklęsłości stajnię, a bardzo szczęśliwie było dość paszy do wykarmienia koni.

Co się tyczy innych zwierząt domowych, potrzeba było je w części poświęcić. Nie podobna było pomieścić ich w podziemnych pieczarach skały. Pozostawiając zaś w wyższych galeryach, skazałoby się je na śmierć okrutną. Musiano więc je pozabijać. Ale ponieważ mięso tych zwierząt mogło się jak najdłużej konserwować w dawnym magazynie, gdzie panowało nadzwyczajne zimno, był to więc drogocenny przyrost żywności.

Dla dokończenia nomenklatury istot żyjących, które szukały schronienia w głębiach Galli, potrzeba jeszcze wymienić ptaki, których pokarm składał się z rzucanych im codziennie resztek jedzenia. Zimno zmusiło je opuścić wyżyny Ula Niny dla ciemnych pieczar góry. Ale liczba ich jeszcze była tak znaczną, obecność ich tak natrętną, że potrzeba było urządzać polowanie i w wielkiej części je wyniszczyć.

Wszystko to zajęło koniec miesiąca stycznia, i dopiero w tym czasie installacya była zupełną. Ale wówczas dla członków kolonii gallickiej rozpoczęła się rozpaczliwa jednostajność. Mogliż się opierać tej moralnej zmartwiałości, która była rezultatem fizycznej? Ich naczelnicy starali się jej przeciwdziałać za pomocą ściślejszej wspólności codziennego życia, rozmowami, w których wszyscy zaproszeni brali udział, głośnem czytaniem podróży i książek naukowych z biblioteki. Wszyscy zasiadłszy do koła wielkiego stołu, Rosyanie i Hiszpanie, słuchali i korzystali, i jeżeli mieli powrócić na ziemię, to powróciliby tam daleko oświeceńsi, niż jakimi byli mieszkając w swoim kraju rodzinnym.

Cóż przez ten czas porabiał Izaak Hakhabut? Czy te rozmowy, te czytania zajmowały go cokolwiek? Ani trochę. Jakiż bowiem mógł z nich zysk ciągnąć? Długie godziny spędzał na robieniu i przerabianiu swoich kalkulacyi i na liczeniu pieniędzy, które ze wszystkich stron do niego spływały. To, co zyskał wraz z tem, co posiadał, wynosiło już sumę przynajmniej stu pięćdziesięciu tysięcy franków, z czego połowa była w dobrem złocie europejskiem. Kruszec ten dźwięczny i zawsze przeważający szalę mógł znowu odzyskać wartość swoję na ziemi i jeżeli Izaak obliczał ilość dni upłynionych, to tylko dla tego, aby wiedzieć, ile tracił procentów. Nie znalazł on dotychczas sposobności pożyczania, jak się spodziewał, na dobre rewersa i rozumie się, na dobrą gwarancyę.

Ze wszystkich mieszkańców Palmiryn Rosette i teraz pierwszy wynalazł sobie zajęcie, które go zupełnie absorbowało. Z liczbami swemi nigdy on nie był sam i właśnie obliczenia matematyczne miały mu skrócić długie dni zimowe.

O Gallii wiedział już wszystko, co mógł wiedzieć, ale nie tak było z Neriną, jej satellitą. Otóż prawo własności, które sobie rościł do tego komety, miało się rozciągać i na księżyc. Co najmniej więc określił jej nowe elementa, od czasu kiedy została wyrwaną ze strefy planet teleskopijnych.

Postanowił zabrać się do tego rachunku. Potrzeba mu było jeszcze znaleść kilka pozycyi Neriny w różnych punktach jej drogi. Znalazł te pozycye, a ponieważ znał wagę Gallii, otrzymaną sposobem bezpośrednim, to jest za pomocą ważenia, mógł więc i Nerinę zważyć w głębiach swego ciemnego zakątka.

Ale takiego ciemnego zakątka nie miał, któremu chciał dać nazwę „gabinetu,“ gdyż obserwatoryum w żaden sposób nazwać by nie mógł. To też w pierwszych dniach lutego powiedział o tem kapitanowi Servadac.

— Potrzeba ci gabinetu, drogi profesorze?— zapytał Servadac.

— Tak, kapitanie, ale potrzeba mi gabinetu, gdziebym mógł pracować, nie bojąc się natrętów.

— Znajdziemy to dla pana — odpowiedział kapitan. — Jeżeli gabinet nie będzie tak wygodny, jakbym chciał, to za to z pewnością będzie odosobniony i spokojny.

— Nie żądam więcej.

— Zatem rzecz ułożona.

Potem kapitan, widząc Palmiryna Rosette w znośnym humorze, ośmielił się zadać mu pytanie względem poprzednich obliczeń. Była to kwestya, do której słusznie przywiązywał wiele realnej wagi.

— Kochany profesorze — powiedział do Palmiryna Rosette, gdy ten chciał odchodzić—miałbym pana o coś zapytać.

— Pytaj pan.

— Obliczenia, z których wywnioskowałeś długość obrotu Galii około słońca, są widocznie dokładne—mówił kapitan Servadac.—Ale w końcu, jeżeli się nie mylę, pół minuty spóźnienia lub przyspieszenia i pański kometa nie spotka ziemi na ekliptyce!...

— Więc i cóż?

— Otóż, kochany profesorze, czy nie byłoby dobrze sprawdzić dokładność obliczeń?...

— To zbyteczne.

— Porucznik Prokop jest zupełnie gotów pomagać panu w tej ważnej pracy.

— Nie potrzebuję niczyjej pomocy — odpowiedział Palmiryn Rosette — dotknięty w drażliwą strunę.

— Jednakże...

— Nie mylę się nigdy — kapitanie Servadac — i pańskie naleganie jest nie na miejscu.

— Mordieux, drogi profesorze — odparł Hektor Servadac — nie jesteś pan przyjemnym dla swoich towarzyszy, i...

Ale powstrzymał się, nie wypowiedziawszy tego, co miał na sercu, gdyż Palmiryn Rosette był człowiekiem, którego należało jeszcze oszczędzać.

— Kapitanie Servadac — odpowiedział sucho profesor — nie rozpocznę na nowo moich obliczeń, ponieważ moje obliczenia są bezwzględnie dokładne. Ale chcę ci powiedzieć, że to co zrobiłem dla Gallii, mam zamiar zrobić teraz dla Neriny, jej satelity.

— Oto ta kwestya wydaje mi się być zbyteczną — rzekł poważnie kapitan Servadac. — Jednakże, sądziłem, że ponieważ Nerina jest planetą teleskopijnym, więc elementa jego powinnyby być znane ziemskim astronomom.

Profesor rzucił na kapitana srogie spojrzenie, jak gdyby w wątpliwość podawano użyteczność jego pracy. Potem ożywiając się:

— Kapitanie — powiedział — jeżeli astronomowie ziemscy obserwowali Nerinę, jeżeli znają jej średni ruch dzienny, długość jej obrotu gwiazdowego, średnią odległość od słońca, jej odśrodkowość, geograficzną długość punktu zetknięcia się jej drogi z ekliptyką, wreszcie pochyłość jej orbity, to wszystko to jest do rozpoczęcia na nowo, ponieważ Nerina nie jest więcej planetą teleskopicznym, ale satellitą Gallii. Otóż, ponieważ jest księżycem, więc chcę ją studyować, jako księżyc, i nie wiem, dla czegoby Gallijczycy nie mieli wiedzieć tyleż o księżycu gallickim, ile „ziemianie“ wiedzą o księżycu ziemskim.

Potrzeba było słyszeć Palmiryna Rosette wymawiającego ten wyraz „ziemianie“! Jakim pogardliwym tonem mówił teraz o rzeczach ziemskich.

— Kapitanie Servadac — powiedział —

kończę tę rozmowę tak, jak zacząłem, to jest prosząc o przygotowanie mi gabinetu...

— Zaraz się tem zajmiemy, kochany profesorze...

— Och, nie spieszno mi tak bardzo — odpowiedział Palmiryn Rosette, i niechby się tylko zrobiło za godzinę...

Potrzeba było na to trzech godzin, ale w końcu Palmiryn Rosette mógł się zainstalować w jakiejś norze, gdzie można było umieścić jego stół i fotel. Następujących dni pomimo nadzwyczajnego zimna wchodził do dawnej sali dla zdjęcia kilku pozycyi Neriny. Zrobiwszy to, usadowił się w swoim gabinecie, i nie widziano go już więcej.

W istocie Gallijczykom zagrzebanym ośmset stóp pod ziemią potrzeba było wielkiej energii moralnej, ażeby przeciwdziałać jednostajności życia, nieurozmaiconego żadnym wypadkiem. Było wiele dni takich, w których nikt nie wyłaził na powierzchnię Galli, i gdyby nie potrzeba sprowadzania lodu dla topienia go na wodę, skończyłoby się na tem, że nikt by wcale nie opuszczał głębokości wulkanu.

Tymczasem zrobiono kilka wycieczek do niższych części centralnego komina. Kapitan Servadac, hrabia, Prokop, Ben-Zuf chcieli jak można najdalej zbadać tę przepaść wydrążoną w jądrze Gallii. Co się tyczy składu skały, do którego wchodziło trzydzieści setnych złota, to potrzeba przyznać, że było to rzeczą dla nich obojętną. Zresztą ta substancya, bez wartości na Gallii, nie więcej by warta była i po spadnięciu na ziemię, i nie wiele więcej budziła w nich interesu, jak jakaś skala granitowa.

Ale wycieczki te posłużyły im do dowiedzenia się, że ogień centralny zachował swoję czynność i ztąd wywnioskowali, że jeźli wybuch ognia nie odbywał się drogą wulkanu, to dla tego, że się musiały otworzyć ujścia ogniste gdzieindziej na powierzchni Gallii.

Tak przeszły miesiące luty, marzec, kwiecień, maj, w jakiemś jakby odrętwieniu moralnem, z którego uwięzieni nie zdawali sobie sprawy. Większość wegetowała opanowana tą odrętwiałością, która stawała się niepokojącą. Czytanie, które przedtem zajmowało, nie zgromadzało już teraz słuchaczy dokoła stołu. Rozmowy ograniczały się do dwóch, trzech osób i były prowadzone po cichu. Szczególnie Hiszpanie byli przygnębieni i nie opuszczali wcale swoich legowisk. Zaledwie ruszali się do przyjęcia jakiego pokarmu. Rosyanie lepiej się trzymali i z większą gorliwością pełnili swoje zadanie.

Brak więc ruchu był głównem niebezpieczeństwem tego długiego aresztu. Kapitan Servadac, hrabia, Prokop wiedzieli dobrze, jak odrętwiałość wzmaga się, ale cóż mogli na to poradzić. Napomnienia nie wystarczały. I sami czuli, jak ich ociężałość opanowuje i nie zawsze mogli się jej opierać. Ociężałość ta objawiała się czasem niezwykle długim snem, to znów nieprzezwyciężonym wstrętem do wszelkiego jadła. Możnaby doprawdy powiedzieć, że ci więźniowie, zagrzebani w ziemi jak żółwie na zimę, wzorem tych ostatnich mieli spać i nic nie jeść aż do powrotu ciepłej pory.

Z całej kolonii gallickiej najlepiej trzymała się mała Nina. Chodziła ona wszędzie, dodawała ducha Pablowi, którym także owładnęła powszechna odrętwiałość. Mówiła to z tym, to z owym, a jej głos świeży w tych posępnych głębinach był jakby ptasim spiewem. Śpiewała wesołe piosnki włoskie, gdy w tej posępnej pieczarze zapanowywało przygnębiające milczenie. Była ona duszą tego małego świata, a ożywiała go swojem wałęsaniem się. Brzęczała jak ładna muszka, ale pożyteczniejsza, dobroczynniejsza od muchy bajkopisarza. Był taki nadmiar życia w tej małej istocie, że niejako udzielała go wszystkim. Być może, iż objaw tej reakcyi dokonywał się prawie pomimo woli tych, którzy jego wpływu doznawali, niemniej przeto był on rzeczywistym, i obecność Niny była niezaprzeczenie zbawienną dla Gallijczyków na wpółśpiących w tym grobie.

Tymczasem miesiące upływały. W jaki sposób? Tego by kapitan Servadac i jego towarzysze nie mogli powiedzieć.

Ku końcowi czerwca ogólne odrętwienie zdawało się powoli przechodzić. Byłże to wpływ promienistej gwiazdy, do której kometa się zbliżał? Być może, ale słońce było jeszcze daleko! Porucznik Prokop, podczas pierwszej połowy obrotu Gallii drobiazgowo notował wszystkie pozycye i cyfry podawane przez profesora. Mógł więc graficznie otrzymać efemerydy i na orbicie przez się odrysowanej śledzić pochód komety mniej lub więcej dokładnie.

Łatwo mu było potem, po przejściu punktu odsłonecznego, oznaczać kolejne pozycye powrotu komety. Mógł więc powiadamiać swoich towarzyszy, nie potrzebując pytać Palmiryna Rosette.

Otóż wiedział on, że ku końcowi czerwca Gallia, przeciąwszy orbitę Jowisza, znajdowała się jeszcze na olbrzymiej odległości od słońca, mianowicie na 197 milionów mil francuskich. Ale szybkość jej według jednego z praw Keplera miała wzrastać w geometrycznej progresyi i we cztery miesiące potem miała wejść w strefę planet teleskopijnych, w odległości tylko 125 milionów mil fr. od słońca.

Około tego czasu, w drugiej połowie czerwca, kapitan Servadac i jego towarzysze zupełnie odzyskali swoje zdolności fizyczne i moralne. Ben-Zuf był jak człowiek, który za wiele spał i wyciągał się teraz na wszystkie strony.

Odtąd zaczęto często odwiedzać puste sale Ula Niny. Kapitan Servadac, hrabia i Prokop wyszli aż na brzeg. Zimno jeszcze było nadmierne, ale atmosfera nic nie utraciła ze swego spokoju normalnego. Ani jednego obłoczka na widnokręgu lub u zenitu, ani jednego powiewu. Ostatnie ślady kroków na płaszczyźnie nadbrzeżnej były teraz tak samo wyraźne, jak dnia pierwszego.

Tylko widok wybrzeża zmienił się. Skalisty przylądek, jak wiemy, zakrywał małą przystań. W tem miejscu podnoszenie się warstw lodowych nie ustawało. Wysokość ich przechodziła już wówczas sto pięćdziesiąt stóp. Na tej wysokości *Hansa i Dobryna* były zupełnie niedostępne. Upadek ich przy odwilży był pewnym, rozbicie się nieuniknione. Nie było dla nich żadnego środka ratunku.

Na szczęście Izaak Hakhabut, który nie opuszczał nigdy swego sklepu w głębokościach góry, nie towarzyszył kapitanowi Servadac w tej przechadzce po nadbrzeżnej płaszczyźnie.

— Gdyby tu był ten stary łotr — powiedział Ben-Zuf — jakieżby krzyki pawie wydawał. Otóż, krzyczeć jak paw, a nie mieć jego ogona, w tem nie ma równowagi.

Dwa dalsze miesiące, lipiec, sierpień, zbliżyły Gallię do słońca na odległość 164 milionów mil. Podczas krótkich nocy zimno było jeszcze niesłychanie ostre; ale w dzień słońce, przesuwając się prostopadle nad równikiem Gallii, który przechodził przez Ziemię Gorącą, wydawało znaczną ilość ciepła i podnosiło temperaturę o jakie 20 stopni. Gallijczycy więc codziennie wychodzili grzać się w ożywczych promieniach, i w tym względzie naśladowali tylko kilkoro ptactwa, które w dzień bujało w powietrzu, a na noc chowało się do wnętrza Gallii.

Ten rodzaj wiosny, jeżeli wolno użyć tego słowa, miał bardzo szczęśliwy wpływ na mieszkańców Gallii. Powracała ufność i nadzieja. W dzień, tarcza słoneczna zdawała się być większa na horyzoncie. W nocy, ziemia zdawała się rosnąć wśród gwiazd nieruchomych. Widziano cel — był jeszcze daleki — ale go widziano.

To spowodowało Ben-Zufa do podzielenia się z kapitanem Servadac i hrabią następującą refleksyą:

— Doprawdy, niepodobna uwierzyć, ażeby góra Montmartre mogła się tam pomieścić!

— A przecież jest ona tam — odpowiedział kapitan Servadac — i mam nadzieję, że ją odnajdziemy.

— I ja, mój kapitanie. Ale zechciej mi z łaski swojej powiedzieć, gdyby kometa pana Rosette nie miała powrócić na ziemię, czy nie byłoby sposobu zmusić ją do tego?

— Nie, mój przyjacielu — odpowiedział hrabia. — Żadna potęga ludzka nie zdoła zmienić geometrycznego układu wszechświata. Co za nieład by powstał, gdyby każdy mógł kierować biegiem swego planety! Ale Bóg nie chciał tego, i sądzę, że mądrze uczynił. (C. d. n.)

Z ALBUMU HALINY.

PIEŚŃ DZISIEJSZA.

Do Twego wianka śpiewających kwiatów
Płynie wygnanka, — łza z boleści światów,
Płynie łza krwawa, co na bolu grobie,
Na zwiędłych liściach róży i bławatów,
Ni to kwiat czarny, sama kwitnie sobie.

A łza ta smutna — gdy po licu płynie,
To się piosenka po sercu rozwinie —
A gdy się z serca wyrwie, to ku światu
Brzęczące śpiewem wyciąga ramiona,
I po listeczkach wiosennego kwiatu
Falami westchnień moich sióstr niesiona,
Na gruzy leci — i tam w gruzach kona.

Otóż to piosnki, co się dzisiaj piszą;
Nie są to dźwięki z dziecięcego świata,
Co niemi dziatwę piastunki kołyszą;
Nie jest to pieśń ta, co do niej wylata,
Gdy serce jego wezbrało płomieniem,
Drżące miłością, a wielkie westchnieniem;
Nie są to pieśni, co je młodzież śpiewa,
Gdy do chorągwi z mieczami przybywa —
Ni ta, co sercom jak słońce przyświeca,
Pieśń przedbojowa, pieśń: Boga-Rodzica,
Pieśń jako wicher rwąca — ani owa
Lotna, wesoła, piosnka obozowa.

Lecz pieśń dzisiejsza, toż ta, co po wojnie
Do starych mogił tuli się spokojnie,
Co jako ziębły pasterz do ogniska,
Ona tak leci na pobojowiska,
I tam jak Anioł-stróż dziatwy poległej
Dźwięczy o sławie i wojnie ubiegłej;
I póty dźwięczy, modlitwami płonie,
I nieraz śmielej po kraju wyleci,
Aż póki iskry nie rozgrzeje w łonie,
Póki nie zbudzi ze snu śpiących dzieci.

I takie dźwięki po zgliszczach błądzące,
To westchnieniami, to modły grające,
Do złotej księgi dziś przyniosłem Tobie,
Innych nie śpiewam, póki kraj w żałobie,
Póki na matki jeszcze drzemiem grobie.

Lecz zmartwychwstania gdy dzwony usłyszę,
To zechciej wtedy dać mi księgę złotą,
A z ogniem porwę pióro, i napiszę
Sto pieśni — co cię kwiatem w wieniec wplotą,
Aż się kraj cały śpiewem rozkołysze.

Lwów 26. marca 1849.

Zygmunt Kaczkowski.

Gdy inna strona szczęściem Cię otoczy,
Ku naszej stronie zwracaj często oczy.
Toż w rzeczy wspólnej po świecie rozwiei,
Tyle nam szczęścia i tyle nadziei,
Ile (acz różna rozgradza nas krata)
Pomnimy o tem, co nas sercem brata.

I Pan Bóg z nami! — los to nie bez chluby,
Mieć miłość wspólną puklerzem od zguby,
Mieć w sercu własnem nadziej swych kotwicę,
I swej ojczyźnie takie dać granice,
Jakiemi samo współbraterstwo nasze,
Szerzej, lub cieśniej — tęczą ją opasze.

Więc w tem przymierzu po sercu i duchu,
W tym zespolenia promiennym łańcuchu,
W tym wieńcu bratnim, bądź nam jednem złotem
Z oddali swojej: ogniwem i splotem,
A ten mirt świeży na twej pięknej skroni
I dla ojczyzny nie będzie bez woni.

We Lwowie 16 maja 1853.

Karol Szajnocha.

Są kwiaty tajemnicze, co cicho i skrycie
Kwitną gdzieś tam nieznane na opoki szczycie;
Kwitną, Bóg wie dla kogo? Nikt nigdy na ziemi
Nie słyszy nawet o nich i nikt śmiertelnemi
Nie widzi ich oczyma; tylko na nie z góry
Bóg patrzy i anieli — i gwiazdy i chmury!

Jak te kwiaty, są również uczucia sieroce,
Co kwitną i na twardej zimnych serc opoce,
Bóg wie po co i na co, kiedy dłoń pieszczona
Nigdy ich dla ozdoby przyjaznego łona
Nie uszczknie z tej opoki — ni w żaden na świecie
Wieniec szczęścia ziemskiego miłością nie splecie.
Kwitną, więdną nieznane; a woń, co się leje
Z ich kielichów, ulata — jak ten wiatr, co wieje!

Pocóż więc kwiaty takie i uczucia kwitną
I są jakby jemiołą serca pasożytną?
Próżno o to pytałem, próżnom żądał wiedzieć!
Kto mógł, nie chciał; kto nie mógł, chciał mi odpowiedzieć,
I zostałem jak kwiat ten na skale dniem, nocą
Kwitnący i woniący, choć sam nie wie: po co?

Poznań 26. kwietnia 1854.

R. W. Berwiński.

PANNA KAPITANÓWNA

przez

MARKA POLNICZA.

(Ciąg dalszy.)

XXV.

Sprowadzenie Kalasantego ze schodów dla wsadzenia go do powozu i odwiezienia do szpitala obłąkanych, — nie było tak łatwą rzeczą, jak się zdawało. Eksprofesor, mając związane ręce, kopał nogami i rzucając się na tych, którzy się do niego zbliżyli, starał się ich w twarz ukąsić. Każdemu zamachowi tego rodzaju towarzyszyło zwykle wygłoszenie kilku wierszy z Iliady lub Odysei. Wątły staruszek, nerwową jakąś siłą waleczny stawił opór, a czując wreszcie, że będzie musiał uledz przemocy, położył się na ziemi i ruszyć się nie dawał.

Upłynęło blisko pół godziny, zanim udało się Mikołajowi z pomocą przywołanego stróża (zwanego we Lwowie „hausmajstrem") i drugiego sługi, znieść Kalasantego ze schodów i związanego jak barana wsadzić do fiakra. Udało się wreszcie, ku wielkiej uciesze gawiedzi ulicznej, która się wybornie ubawiła tem pełnem emocyi, bezpłatnem widowiskiem.

— Aber mein lieber Nikolaus — rzekł na odjezdnem kapitan, który zszedł był ze schodów — ja sem teraz myślę, że go lepiej kto inny odwieźć może do szpitala. Nie potrzeba koniecznie, żeby ty. Weisst du was? Ja go sem potransportuję, a wy marsz do kościoła! ksiądz czeka ślub dawać...

Mikołaj jednak był niewzruszony w obec nalegań przyszłego teścia.

— Księdzu już dałem znać — a daję kochanemu teściowi najświętsze słowo honoru, że ja sam Kalasantego odwieść muszę, bo to mój obowiązek w obec stryjaszka!

— No, niech będzie, niech będzie! Ehrenwort ist heilig. Ale wracajże prędko, kochany zięciu!

— Jak będę mógł najprędzej!..

I odjechał. Odjeżdżając spojrzał raz jeszcze w górę ku oknom pierwszego piętra. Czy się kogo tam obaczyć spodziewał, lub pragnął może kogo obaczyć?... Obaczył w jednem oknie pana Antoniego, który patrząc się na odjeżdżającego — śmiał się impertynenckim jakimś śmiechem, w drugim zaś oknie obaczył pannę Paulinę.

Staropanieńskie nerwy panny Pauliny uspokoiły się nieco i chłodniej już zastanawiała się nad tem wszystkiem co zaszło.

Przedewszystkiem, widziała jasno, że Floryan ją haniebnie zmistyfikował i że Mikołajowi nigdy ani się śniło kochać się w niej. Czuła się niegodziwie skompromitowaną i kipiała ze złości.

Nie umiała jednak wytłómaczyć sobie, dla czego Mikołaj nie kochając jej zrywał związek z tak pięknem dziewczęciem jak Dziunia, — a tem mniej, dla czego nie życząc sobie tego związku, jednak się oświadczył i aż do dnia ślubu z zerwaniem się ociągał.

Pojmowała dobrze, iż pragnąc uwolnić się od Dziuni, ważne mógł mieć powody postarania się o to, aby wina zerwania nie spadła na niego. Mógł się także obawiać gniewu kapitana, opinii publicznej i t. p. Ale czemu zrywał, oświadczywszy się wprzódy? Czy doszły go jakie niekorzystne wiadomości o Dziuni? Dowiedział się może, że zakochana w Floryanie?... Ah, niezawodnie!...

Ale jakiż cel miał Mikołaj, zamykając ich oboje w spiżarni?.. I na to pytanie łatwo odpowiedziała sobie panna Paulina: On w przyjaźni z Floryanem! chciał zapewne sam zerwać, a jemu dopomódz w jego planach. Zamknął więc z nim pannę, aby ją tak skompromitować, żeby już za nikogo pójść za mąż nie mogła, tylko za Floryana..... Tak! to wszystko zrozumiałe.

— A ta Dziunia?.. Dziunia, chociaż we Floryanie zakochana, nie byłaby zapewne zezwoliła na wykonanie tego planu, który ją tak kompromituje.. Floryan chciał ją jakimś sposobem zwabić do tej spiżarni — użył więc intrygi... mnie chciał użyć za narzędzie!... Wiedział, że na jego prośby nie dałabym się skłonić do wzięcia udziału w takiej kabale! a więc mnie zwiódł nikczemnie. Podszedł mnie zdradziecko, wciągnął wbrew mej woli do swoich planów. Skompromitował mnie, na śmieszność mnie naraził! na wstyd taki!... Zemsta! zemsta!..

— Ale jak się tu zemścić? — Oddać klucz jej matce albo ojcu? Spytają, zkąd go wzięłam!.. Powiedzieć?... Niepodobna! Powiedzieć, że znalazłam na korytarzu? albo, że widziałam jak ich Mikołaj zamykał? Zapytają, czemu zaraz im nie oznajmiłam. A jak tam znajdą razem tę czułą parę, kapitan zapyta córki jak się to wszystko stało, to ta gąska gotowa wtedy powiedzieć, że to ja ją tam zaprowadziłam.. Nie! nie! niepodobna dopuścić, aby ich tam znaleziono: — Floryan tego tylko pragnie, trzeba więc właśnie temu przeszkodzić. To mój obowiązek! a i zemszczę się w ten sposób najlepiej!.. Pójdę im sama otworzyć więzienie!...

I uradowana tym pomysłem — wybiegła.

Niestety: plan a wykonanie — te rzeczy dalekie często od siebie. Choć plan często łatwym i praktycznym się wydaje, nieraz niespodziewana przeszkoda wykonać go nie dozwoli.

Na ganku stało kilku mężczyzn, którzy tam wyszli dla wypalenia papierosów.

Niepodobna było w ich obecności otwierać dobrowolnym więźniom ich więzienie pełne słodyczy... Nie mówimy o konfiturach, których w spiżarni zapewne także nie brakło.

Trzeba było odłożyć wykonanie planu do chwili sposobniejszej.

XXVI.

Minęła może przeszło godzina od chwili jak zamknęły się dwoje drzwi improwizowanego więzienia, a klucz spoczywał ciągle jeszcze w kieszonce panny Pauliny.

Mikołaj nie wracał. Niecierpliwił się kapitan, głośno objawiał swój zły humor, klął coraz częściej po węgiersku, a żonie już trzecią w ciągu tego czasu powiedział impertynencyę. Nie zemdlała z tego powodu, ani dostała spazmów biedna kapitanowa, — zbyt już była z tem oswojoną, aby to na niej tak wielkie miało sprawiać wrażenie.

Spostrzegł kapitan nieobecność córki.

Zapytał o nią żonę, ta obeszła całe mieszkanie, cały domek wreszcie — i nie znalazłszy jej, zaniepokoiła się wielce — ale nie śmiała mężowi oznajmić, że Dziunia zniknęła. Spostrzegłszy że i Floryana już nie ma między gośćmi, sercem matki odgadła wszystko, domyśliła się wszystkiego. Ale choć odgadła wszystko, co się kryło w sercu dziewczęcia, choć domyśliła się, że ona w tej chwili jest gdzieś z Floryanem — nie odgadła najważniejszej rzeczy: gdzie.

Badała bliższych przyjaciół domu, czy nie widzieli, kiedy Dziunia wyszła i czy się czego nie domyślają? — nadaremnie. Nie śmiała wrócić do salonu i stanąć przed mężem z tą straszną wieścią. Znała go nadto dobrze, aby nie wyobrazić sobie jego wściekłości na wieść o domniemanej ucieczce, czy też wykradzeniu córki.

— Gdzież jest Dziunia? milllion! — pytał kapitan i obszedł kilkakrotnie mieszkanie.

— Nie wiedzą panie, gdzie Dziunia?

— Czy nie widzieli panowie mojej córki?

Wszyscy odpowiadali przecząco.

— Saperment! a gdzie moja żona?

Znowu obszedł mieszkanie. Nie znalazł ani córki ani żony.

— Gdzież one są? milllion!

Wstąpił do kuchni. Biedna kapitanowa siedziała tam na ławce i płakała.

— Was ist das? — co to znowu? gdzie Dziunia?

— Nie wiem! — odrzekła drżąc cała. — Nigdzie jej znaleźć nie mogę.

— Was tausend! — wrzasnął z pełnej piersi. — Nie może być!... Może na strychu?...

— Byłam tam.

— U stróżki?

— Nie ma.

— W spiżarni?

— Nie. Spiżarnia zamknięta.

— W piwnicy?

— Byłam i tam. Nigdzie jej nie ma.

— Ist nicht möglich! — i wypadł jak szalony z kuchni.

— Dziuniu! Dziuniu! — wrzeszczał po swojemu, przebiegając po raz dziesiąty napełnione gośćmi pokoje i roztrącając wszystkich.

Nigdzie jej nie było. Znikła bez śladu.

Białka oczu krwią mu nabiegły, włosy na głowie najeżyły się, podniósł się z osobna w górę każdy włosek jego wąsów, tak jakby ktoś kapitana postawił na izolatorze elektrycznej maszyny. Iskier tylko brakowało za dotknięciem. W oczach było ich dość.

Zbiegł po schodach na dół. Przed domem stało kilka fiakrów. Zapytał, czy nie widzieli jakiej panny odjeżdżającej lub wychodzącej z domu.

Żaden nie widział.

Jeszcze i jeszcze raz kapitan przeleciał cały swój szczupły apartament i wrzeszczał ochrypłym z gniewu głosem:

— Dziuniu!...

Słysząc to wołanie wbiegł do pokoju Kajcio:

— Panna młoda jest w spiżarni — zamknięta.

— Ty ją zamknął Rotzbub? — zapytał kapitan, chwytając chłopca gniewnie za rękę.

— Ale nie ja!

— Zkąd-że wiesz, że zamknięta?

— Bo byłem na dziedzińcu w tym dużym klombie, szukałem ślimaków — i widziałem jak ją tam pan młody zamknął!

— Cha, cha, cha! pan młody ją zamknął! — roześmiał się pan kapitan najweselszym śmiechem i twarz jego jakby za dotknięciem rószczki czarodziejskiej, przybrała wyraz najszczęśliwszego z ojców.

— Cha, cha, cha! — śmiał się biorąc się pod boki... — A to sem paradne! das ist kolosal!... Słuchajcie państwo: Nikolaus ją zamknął, aby mu jej kto nie zabrał, aż nie powróci! cha, cha, cha! A to sem Eifersucht!...

Porwał Kajcia i podniósł w górę z radości.

— Gadaj, jakto sem było? — i pocałował go w czoło.

Kajcio, zadowolony z ważnej swej roli opowiadał naiwnie:

— Panna młoda w spiżarni z jakąś panią, a pan młody przybiegł tam z jakimś panem, a jak ten pan wszedł do spiżarni, a ta pani wyszła, to zamknął ich na klucz..

— Jakto? co ty pleciesz? z tym panem?... Das ist nicht wahr!

— Ale z pewnością z jakimś panem...

— To sem nie może być! — śmiejąc się zaprzeczył kapitan.

— Ale ja widziałem!

— Pleciesz. Cóż to za pan?

— Ah ja nie wiem jak się nazywa...

— Dummes Zeug! jakby to mogło być!... To nie prawda! — odrzekł kapitan spokojnie.

I oprócz panny Pauliny i pana Antoniego wszyscy podzielali zdanie kapitana. Ci oboje milczeli. Paulina zagryzała wargi ze złości, Antoni, aby się w głos nie roześmiać. Gładził przytem swoją łysinę, bawił się maliną na czole i *łypał* oczyma, niesłychanie ciekawy końca awantury.

Panna Paulina, choć srodze zirytowana, dziękowała przecież Panu Bogu, że Kajcio powiedział: „jakaś pani,“ a nie spamiętał która. Drżała na myśl, że Kajcio mógłby sobie jeszcze przypomnieć, gdyby go o to zapytano, lub, że po otworzeniu spiżarni udział jej w tej kabale wydać się może. Poskarżyła się tedy przed kapitanową na gwałtowny ból głowy, który jej dłużej nie pozwala zostać w towarzystwie — i odjechała.

XXVII.

Kwadrans upływał za kwadransem, a Mikołaj nie wracał. Niecierpliwość kapitana wzrastała z każdą minutą, co chwila patrzał na zegarek, a w końcu owładnął go taki niepokój, iż postanowił pojechać po zięcia do domu obłąkanych i przywieść go gwałtem.

Z ulicy Mickiewiczowskiej do Pijarów dobry kawał drogi, a fiakry lwowskie nie zwykły bardzo pospieszać. Jadąc ulicą Jagielońską postanowił kapitan zatrzymać się przed hotelem Langa (w którym „zięć“ jego był stanął), w tem przypuszczeniu, że Mikołaj może wstąpił do swego mieszkania po odwiezieniu stryjaszka do szpitala.

— Eh, po coby miał wstępować! — refutował kapitan samego siebie. A po chwili odparł sobie samemu: Ha, kto wie? a nuż wstąpił? — I znowu po chwili: No, dobrze, ale po co?...

I przyszła mu myśl szczególniejsza w tej chwili do głowy:

— Nie dał jeszcze Dziuni ślubnego prezentu. Może go zapomniał w mieszkaniu i teraz wstąpił, aby go zabrać... Oho! pewnie! gar kein Zweifel! Dla czegożby się tak opierał, że sam, koniecznie sam odwiezie Kalasantego.. a wprzódy znowu chciał jechać po Czecieczewicza.., Cha, cha, ich verstehe schon, to po ślubny prezent!... Galanter junger Mann!... Przecież to co szlachcic, to szlachcic!...

Przed hotelem wyskoczył z fiakra i pobiegł do znanego mu pokoju pod Nr. 18. Stancya była pusta. Kelnerka ją zamiatała.

— Gdzie pan?

— Jaki pan?

— No, ten co sem tu mieszka.

— A! pan Mikołaj... Odjechał przed kwadransem na kolej... eh, będzie już z pół godziny.

— Odjechał?... Od-je-chał?... to nie może być!

— Ale odjechał z pewnością. Ja go przecież znam! Ojej! pana Mikołajabym nie znała!

— Haha! ale nie na kolej — i roześmiał się w głos.

— A jakże! Na kolej pojechał; rachunek zapłacił.

— Z jednym starym człowiekiem?

— Nie; sam.

— Dokąd pojechał?

— Ja nie wiem dokąd. Nie mówił. Spieszył się na ten *cug* co do Krakowa jedzie... o, już teraz pewnie będzie w Mszanie albo w Kamienobrodzie... *Za* czemu pan dziś rano nie przyszedł!...

Kapitan stał na miejscu, nieruchomy — jakby skamieniał.

— Ah, rychtyk! — rzekła kelnerka, jakby przypominając sobie coś — kazał ten list odesłać wedle adresu na Mickiewiczowską ulicę, to może do pana?

I wyjąwszy list z kieszeni, pokazała kapitanowi.

List był zaadresowany do niego.

Wyrwał go kapitan z rąk kelnerki i rozdarł kopertę jak zgłodniały ryś swoją zdobycz.

W liście stały następujące wyrazy:

„Najłaskawszy Teściu Dobrodzieju!

„Przywołany lekarz oznajmił, że z nieszczęśliwym moim stryjaszkiem bardzo źle i że jeden tylko pozostaje ratunek dla niego, a mianowicie, aby go jak najspieszniej zawieść do jakiego sławnego zakładu, gdyż oddawszy do tutejszego szpitala, można być pewnym, iż niestosowną kuracyą i brutalnem obejściem, zostałoby uniemożebnionem na zawsze jego wyzdrowienie. Mając wielkie obowiązki wdzięczności wobec nieszczęśliwego mego stryja, spieszę na kolej, aby najbliższym pociągiem odjechać do Wiednia. Boleśnie mi bardzo, iż bolesny ten wypadek stanie się powodem do tak bolesnego dla mnie odroczenia ślubu — a niestety, nie wiem nawet, jak długo mi zabawić przy nieszczęśliwym stryju najświętszy nakaże obowiązek honoru. — Jestem pewny, że kochany Teść dobrodziej uzna, że w tym bolesnym wypadku nie mogłem inaczej postąpić, tylko wobec nieszczęśliwego stryjaszka wypłacić się honorowo z honorowego obowiązku wdzięczności, który mi honor dyktuje. Boleśnie mi niewypo...“

W połowie tego wyrazu kończyła się pierwsza stronica listu. Kapitan Kaperman dalej już nie czytał. Podarł pismo w kawałki i pieniąc się z wściekłości, podeptał nogami. Wyszedł niezdolny cokolwiek postanowić, — nawet kląć niezdolny.

Nie wiem czy słyszał za sobą głośny śmiech kelnerki, przypatrującej się tej scenie.

(C. d. n.)

PLOTKI I NIE-PLOTKI

WARSZAWSKIE.

V.

(Dokończenie).

W Warszawie są role rozdane, pozycye zajęte, powagi utrwalone, pisma renomowane przyzwyczajeniem i nałogiem publiczności, koterye ściśle zamknięte... Młodym i nowym talentom nie tylko że ciężko drapać się w górę, ale nawet rozwijać się trudno. Dodajmy cenzurę moskiewską, jej kleszcze często głupio cyniczne, a zawsze nędzne. Mimo to wszystko, a dzięki swemu organizmowi swej krewkości, swej ruchliwości, uśmiechowi, nadziei, swobody, życia, które się wewnątrz kryje, zapału wybuchającego przy każdej sposobności, Warszawka jest sercem narodu, jego duszą, pocieszycielką i ogniskiem.

Balujemy i basta. Nic nas nie obchodzą: ani kryzys finansowa, ani flota angielska na morzu Marmora, ani nędza w kraju, i trzecia część Warszawy zbankrutowana, ani tylu samych a więcej jeszcze zabitych Polaków w Bałkanach, nic, nic. Balujemy i cieszymy się z tego, że balować możemy. Balujemy i szepczemy sobie:

— Będzie wojna!

— A dla czego?

— Dla czego, dla czego — no bo tak wściekle tańczymy, jak gdyby mieli jutro uciec Moskale z Warszawy.

— Kto to wie?! A nuż! — Andrassy nie śpi.

— I my nie sypiajmy! A więc hej dziś-dziś — choćby jutro komornik miał nas wyrzucić z domu na ulicę!

Przeczuwamy wojnę, wielkie wypadki, katastrofy i na nic nas nie stać, jak na „wściekłe“ mazury!

Nie tylko my, ale nasze dzieci stroimy, fryzujemy i urządzamy dla nich bale, wprawdzie na dobroczynność, ha więc z poświęcenia, odrywamy te młode istotki od książek i ich niewinnych rozrywek, ciągnąc je do pracy nogami, na dobroczynność, zmuszając je do upokorzeń, zawiści, zazdrości, próżności i pychy, na dobroczynność! Ach dobroczynności, jakże wielkie twe ofiary, jam ci za młodu poświęcał wszystko, a dziś jam stary, posyłam ci swe dzieci!.. Dla nich się dzieci bawią i romansują, aby przybyło o dziesięć więcej mundurów szaraczkowych z czerwonemi literami T. D. Mundurować nędzę, oto ideał jałmużniczej dzielności warszawskiej!...

Że się też nikt dotąd w Warszawie i Królestwie nie znalazł, któryby tyle agitował, co pan prezes dobroczynności, aby zatrzymać na pozycyach ludzi i familie, toczące się po spadzistości, w objęcia nędzy! Nie dopuścić do nędzy, to znaczy utrzymać w zdrowiu i moralności, naród, społeczeństwo. Żywić choćby rosołem i mięsem żebraków, jest to podtrzymywać, hodować nędzę. Pomódz ludziom, wytrwać i zwyciężyć, jest to wytwarzać bohaterstwo, uszlachetniać walkę, wynagradzać wytrwałość!

Dużo wody upłynie za nim społeczeństwo warszawskie zrozumie doniosłość przedstawionych różnic. Nie znoszę żebractwa i gardzę dobroczynnością dla żebraków. Lecz rozumiem, co to znaczy podać serdecznie dłoń temu, który w pracy ze zmęczenia upada, podeprzeć go w walce z nędzą i pomódz mu do zwycięztwa!.. To znaczy uratować rodzinę, gdy wspierać dobroczynność, znaczy mundurować żebraków, pasożytów!...

Warszawka nie ma czasu bawić się w tego rodzaju subtelności. Dobroczynność wyprawia im i ich dzieciom baliki, tombole, bazary, maskarady, komedyjki, a nawet amatorskie opery(!?) jakże tu nie kochać dobroczynności!... Niech żyje dobroczynność!... Co nas to obchodzi, że gdzieś, ojciec rodziny pasuje się z nędzą, wydobywa ostatek sił, aby się wydobyć z jej uścisków, aby się wydobyć z objęć lichwiarzy, aby dzieciom dać kawałek chleba, kupić im drzewa, aby je ogrzać i okryć przed hańbą i upodleniem żebractwa.

Warszawka wraz ze swoją dobroczynnością widzi to, uśmiecha się, główką kiwa, nie rozumiejąc tej walki, bo nadto rozbawiona, lekkomyślna... Zresztą nie przedstawiają podobnych historyi na teatrze. Gdyby się znalazł poprawniejszej edycyi Lubowski (bo innych nie lubi słuchać tylko *swoich — naszych*) i pokazał im tę walkę i szamotanie się na scenie, płakaliby, pewnoby płakali, lecz nazajutrz daliby tylko na dobroczynność naszą, kochaną, czyli poszliby się bawić, śmiać, słuchać, obmawiać, tańczyć na cześć dobroczynności.

Walczącym zaś powiedzielibyśmy: walczcie, a gdy upadniecie, gdy wam z omdlałych rąk wypadnie dłuto i młot, gdy z zimna nie będziecie mogły utrzymać igły, i stoczycie się w przepaść nędzy, na bruk; a wtedy szturkajcie do furty dobroczynności o rumforcką zupę, a gdy będzie miejsce dostaniecie mundur i liczbę, czekajcie cierpliwie, my się tak poświęcamy, że aż z poświęcenia upadamy w tańcu, jak wy upadaliście ze zmęczenia i głodu, waląc młotem, aby nie upaść samym i nie dać na hańbę nędzy i dobroczynności rodzinę.

Warszawka ma serce, patrzy w serce, rozumie dobroczynność, i dla tego tak straszliwie u nas nędza grasuje i wzrasta. A my, my cóżeśmy winni? my jesteśmy tak dobroczynni a Warszawka wielką — jałmużnicą!

Tu nie idzie o jałmużnę, ale o pomoc, aby jej niepotrzebowano. Jałmużna to podtrzymywanie nędzy, pomoc to utrzymywanie zdrowia społeczeństwa.

Dobroczynność dopóty będzie grasować w Warszawie, dopóki nie potworzą się najrozmaitsze stowarzyszenia, niedopuszczające nędzy. Lecz kiedy się one potworzą?... Trzeba się o to spytać pana Jeleńskiego, bo mnie się zdaje, że dopiero ze wzrostem nowego pokolenia, albo do chwili, gdy się unormują stanowczo dwie warstwy w narodzie, tańcząca na dobroczynność i chodząca w mundurach dobroczynności...

Nie bądźmy zbyt złośliwi i nie traćmy nadziei. Pierwsze błyski ujawnienia idei zabłysły, za ideą pójdzie czyn. Pierwszy krok najtrudniejszy!... Obywatele warszawscy radzą, wprawdzie bardzo powoli, ale radzą nad utworzeniem stowarzyszeń wzajemnej pomocy rzemieślników i robotników w fabrykach. Jacek Soplica posyła im w pasztecie „spraw bieżących“ dziesięć punktów, których powinni się trzymać, jak pijani płotu. Po tak świetnem strawieniu policyi i ekonomii, nie dziw że punkta te są dobre i wyczerpujące.

Soplica znalazł szlachetnego współzawodnika w osobie pana Markiewicza z Soczewki, wołającego ze szpalt gazety warszawskiej, o przymusowy *udział* stowarzyszonych, na co *Niwa*, Jacek Soplica i my wszyscy z nim zgadzamy się! Tylko do dzieła, wytrwale, a skrupulatnie, sumiennie, aby nie obudzić podejrzeń u maluczkich a wzbudzić ufność i naprzód!... Niech umiera chwast dobroczynności, a w jego miejsce krzewią się szlachetne, bo na wzajemności oparte instytucye. Niechaj dobroczynność zostanie tylko z kalekami, a solidarna pomoc pracowników zakwitnie. W tym kierunku wytężać siły należy!...

Tymczasem Moskwa zwycięska, na pół zbankrutowana, a niezadowolenie i choroby w armii ze straszliwą szybkością wzrastają, wewnątrz socyalizm i nienawiść do rządu, do obecnego porządku, podnosi hardo głowę.

Dotąd Moskale umieli być propagatorami, spiskowcami i w końcu męczennikami. Rząd, żaden rząd nie boi się męczenników, i żartuje sobie z nich. Carat nie bał się spiskowców, dopóki ci dawali się łapać z abnegacyą i męczeństwem znosili swą dolę.

Jeżeli konspirujące społeczeństwo nie ma sił żywotnych do rozwoju swych zasad, umiera w cichem męczeństwie. Jeżeli je zaś ma, wtedy okres męczeństwa jest krótki, usposobienia bierne, zmieniając się lub zastąpione bywają przez charaktery czynne, i abnegacya ustępuje czynowi, konspiracya nie wystarcza, wychyla się propaganda czynna, następuje walka, w biurach policmajstrów, w domach, w obronie napadniętych przez zbirów, ztamtąd przeniesie się na ulicę, z pojedyńczych ludzi będą się robić gromadki, z gromad obozy, i matuszka Rossya wybuchnie płomieniem. Co z tego płomienia wybuchnie, sroższy carat, czy eldorado socyalistów moskiewskich, nie wiadomo! Dość że Nemezys historyi za popełniane zbrodnie i mordy w imię systematu państwowego, zemści się zbrodniami i mordami.

Nie czekajmy, aby nam dyplomacya na konferencyach Polskę wygadała, lecz pracujmy, organizujmy się, wyrabiajmy siły, uczmy się, bo gdy matuszka Rossya, zacznie się palić, mordować i pięknego poranku kajdany nam z nóg spadną, abyśmy wtedy wiedzieli, co z wolnością robić, abyście wy wtedy w Galicyi dali choć na chwilę pokój świstakom i kozicom, a pomyśleli wspólnie o wystawieniu przedmurza, przed rozjuszoną Azyą i odwieczne swe cywilizacyjne posłannictwo spełnili.

Cóż my dziś zmordowani przez dzicz, wyczerpani z sił, zaledwo broniący domowego ogniska i języka, cóż my dziś... Dziś nas stać na „wściekłego“ mazura, z radości że wojna będzie za nas i dla nas!

Niech żyje Polska!.. Hej dziś-dziś — hołupca z lewej nogi!...

WADY PUBLICZNEGO WYCHOWANIA

ZE STANOWISKA LEKARSKIEGO

PODŁUG DR. BAGIŃSKIEGO

napisał

DR. ADAM ZAGÓRSKI.

O wpływie uczęszczania do szkoły na życie fizyczne młodzieży bardzo mało pisano w dawniejszych czasach. Dopiero w połowie zeszłego wieku Jan Jakób Rousseau pierwszy powstał przeciwko takiej metodzie uczenia, która ma za zadanie tylko duchowe wykształcenie. Ze stanowiska czysto lekarskiego dokładniej zajął się kwestyą szkolną Jan Piotr Frank w końcu zeszłego wieku, który w swojem dziele opisuje wady publicznego wychowania i daje ogólny zarys hygieny szkolnej, zasługującej i obecnie na kompletne uznanie. Przedmiot ten pozostał w spoczynku aż do roku 1836, w którym Lorinser gwałtownie powstał, ze stanowiska lekarskiego, przeciwko panującej metodzie nauczania w szkołach, a mianowicie, że wielka ilość przedmiotów wykładanych, godzin i wypracowań domowych, jako też wadliwe zewnętrzne urządzenia szkolne podkopują zdrowie młodzieży, a głównie, że suchoty (?) powstają wskutek uczęszczania do szkoły.

Rozprawa ta, chociaż mająca wiele niedokładności, oddziałała stanowczo na kwestyę szkolną, ponieważ władze zwróciły swoją uwagę na urządzenia szkolne; i od tego też czasu literatura tego przedmiotu zaczęła się znacznie powiększać. W roku 1842 uznał król pruski naukę gimnastyki za konieczną dla męskiego wychowania i wprowadzono ją do szkół jako przedmiot obowiązkowy. W roku 1862 pojawiła się praca Pettenkofera o powietrzu w szkołach i jego wpływie na młodzież. W roku 1865 Fahrner i Parow ogłosili swoje ważne badania o wpływie nie odpowiednio urządzonych ławek na zdrowie młodzieży; w r. 1866 Herman Kohn o krótkim wzroku u młodzieży szkolnej, a 1869 Virhow o niektórych szkodliwych wpływach szkoły na zdrowie.

Uczęszczanie do szkoły zajmuje znaczną część życia od siódmego do mniej więcej 15tego roku, zaś u wielkiej liczby dzieci, tak chłopców, jako i dziewcząt znacznie dłuższy czas. Da się mniej więcej obliczyć, że w tym przeciągu czasu dziecko blisko 9.000 godzin szkołą jest zajęte z tego można już a priori wnioskować, że uczęsz-

czanie do szkoły nie może nie pozostawić śladu na ciele dziecka, podobnież jak nauka na jego duchu.

Uczęszczanie do szkoły przedstawia wiele korzystnych, jak również i szkodliwych wpływów. My zajmiemy się ostatnimi i będziemy się starali wykazać sposób, w jaki działają te szkodliwości na organizm.

Szkodliwy wpływ szkoły na organizm dzieci polega: albo na nieodpowiedniem położeniu i konstrukcyi budynku szkolnego, albo na wadliwym systemie nauczania, lub wreszcie na gromadzeniu wielu dzieci w jednym pokoju; a więc szkodliwości te dają się podzielić na trzy grupy. Wybór nieodpowiedniego miejsca na budynek szkolny jest dla zdrowia młodzieży szkolnej bardzo szkodliwy, np. grunt nisko położony, błotnisty, przesycony odchodami fabrycznymi, lub też ściekami z ulic miejskich; grunt, w którym woda zaskórna już przy jej średnim stanie dotyka się jego powierzchni, a więc grunt, który jest na równi lub poniżej źwierciadła rzeki nie daleko płynącej itd. Szkodliwości tego rodzaju mogą być jednakże usunięte przez odpowiednie odprowadzenie wody z gruntu, przez odpowiednio ocementowane fundamenta budynku, przez danie piwnic pod tymże i utrzymanie ciągłego prądu czyszczącego powietrza w piwnicach. Jeżeli to nie miało miejsca i mury nie są zabezpieczone od wilgoci, wtenczas nasiąkają podobnie jak gąbka płynami będącemi w rozkładzie, co się udziela nawet najwyższym piętrom budynku. Takie budynki przyczyniają się w wysokim stopniu do chorobliwości dzieci, do nich uczęszczających. To, cośmy dotąd powiedzieli, można umieścić pod ogólną rubryką: zepsucie powietrza.

I innych źródeł takiego zepsucia ma bardzo wiele uczęszczanie do szkoły. Każdy człowiek psuje sam powietrze, którem oddycha, ponieważ zabiera mu kwasorod, a oddaje kwas węglowy, azot i wodoród, pomijając cały szereg innych lotnych substancyi organicznych, które wprawdzie chemicznie wykazano, ale natura ich nie jest znana. W powietrzu otwartem równowaga utrzymuje się przez zapasy dwóch grup organicznych, t. j. świata roślinnego i zwierzęcego, przez ciągłe poruszanie prądu powietrznego; lecz to nie ma miejsca w zamkniętych pokojach.

Pettenkofer Breiting i inni dowiedli, że chociaż mury z cegły przepuszczają przez siebie gazy, powietrze się pomimo to zanieczyszcza gdy dłużej siedzimy w jakim pokoju. Dzieje się to jeszcze w wyższym stopniu, jeżeli własność wentylująca muru zostanie osłabioną przez wilgoć, która zatyka dziurki w materyale budowlanym; jeżeli powietrze wnikające przez szpary drzwi zamków i okien jest zmięszane z produktami gazowemi, powstałemi z gnicia i fermentowania. Oprócz tego powietrze psuje się przez gazy, nagromadzone w ubraniu dzieci: lotne kwasy tłuszczowe, wodorodki węgla, przez kurz, przez produkta powstałe przy paleniu światła, jako też przy paleniu w źle urządzonych piecach. Jeżeli do tego dołączymy brak sztucznej wentylacyi, którąby powietrze zepsute oddaliła, a świeże sprowadziła, za małe miejsce sześcienne dla jednego dziecka, to łatwo poznać możemy, że wszystko to razem wzięte robi powietrze, jak najmniej odpowiedniem do oddychania. Szkoła może także stać się źródłem złego, jeżeli przestrzeń kwadratowa przeznaczona dla jednego dziecka jest za mała i jeżeli ławki nie odpowiadają rozmiarom ciała dziecka; o czem będziemy obszerniej mówić poniżej.

Jakże wiele złego sprowadza nieodpowiednie oświetlenie wskutek fałszywego położenia budynku, w bliskości wysokich domów, wież kościelnych, wysokich drzew, wskutek nieodpowiedniej wielkości okien i światła z fałszywej strony, jak np. z przodu, z prawej strony, lub z tyłu tak, że cień własnego ciała pada na zeszyty i dziecko się zgina, aby uzyskać dostateczną ilość światła. Szczególniej szkodliwie działa oświetlenie sztuczne wieczorem, tak przez wydzielanie do atmosfery szkolnej wyżej wspomnianych gazów, jako też dla nieodpowiedniej jasności.

Zwykle jest siła i liczba świateł niedostateczna, wskutek czego muszą dzieci książki i zeszyty zbliżać do oczu, albo też zginać głowę, i ztąd powstaje wadliwe położenie stosu pacierzowego. Wspomnieć należy także i o innych momentach, jak o znacznej odległości szkoły od mieszkań dzieci, o braku krytych galeryi na dziedzińcach szkolnych, pod któremi by dzieci mogły przechadzać się w czasie pauzy w dni deszczowe, lub bardzo słoneczne, wadliwego położenia wychodków w bliskości studni, nakoniec niedbałości w staraniu się o dobrą wodę do picia. Wszystko, cośmy dotąd wymienili, oddziaływa z wolna szkodliwie na trwałość zdrowia i życia młodzieży szkolnej, choć to dopiero przyczyny, wypływające z zewnętrznych stosunków szkolnych.

Do drugiej grupy należy wadliwy sposób nauczania. Przedewszystkiem wspomnimy tutaj o przymusowem chodzeniu do szkoły we wczesnym wieku, bez uwzględnienia konstytucyi i fizycznego rozwinięcia dziecka. Wszystkim dzieciom nakazują z początkiem 7go roku życia chodzić do szkoły, nie pytając, czy mogą; bez kontroli lekarskiej. Gdy dziecko już raz przyjdzie do szkoły, podlega w całej rozciągłości przepisom szkolnym; musi rano wstać z łóżka, aby się nie spóźnić, spać mu dłużej nie wolno, bez względu na to, czy dziecko w nocy spało, lub też nie. Często zaledwie ma czas zjeść śniadanie, do szkoły biegnie, a tam może jeszcze zastać drzwi zamknięte, i naraża się na deszcz, zimno, lub palenie słońca; toż samo dzieje się po obiedzie, który się prędko połyka i marsz napowrót z pełnym żołądkiem do szkoły. Także za wielką liczbę godzin muszą dzieci w szkole siedzieć i chociaż mają pauzy, lecz nigdzie nie ma krytych galeryi, aby dzieci pod niemi w czasie niepogody przechadzać się mogły. Niektórzy nauczyciele są za surowi w udzielaniu pozwolenia dzieciom do wychodzenia, w celu załatwienia swych potrzeb, co bardzo szkodliwie oddziaływa na zdrowie. Również plany szkolne wiele zostawiają do życzenia. Często bywają dwie godziny pisania lub ręcznych robót, często też następują trudne przedmioty po sobie, i umysł dziecka nie ma czasu do odświeżenia się. Na to także nie zwraca się uwagi, aby trudniejsze przedmioty były z rana, gdzie umysł jest świeży i łatwiej przyjmujący. Przez natężenie umysłu nie osiągnie się właściwego celu nauczania. Błędny podział przedmiotów sprowadza nowy błąd straty czasu. Nauczanie samo, pomimo wielkich postępów pedagogii w ostatnich dziesiątkach lat, nie jest jeszcze na właściwej drodze; tak np. w wyższych szkołach czytanie klasyków, które powinno oddziaływać na młodzież orzeźwiająco i zająć umysł i serce, działa przeciwnie męcząco, ponieważ nauczanie jest zbyt pedantyczne, więcej mu chodzi o pojedyńcze formułki i daty, jak o pogląd na całość. To sprowadza ociężałość w ciele, uczniowie źle siedzą, przechylają się to na jeden to na drugi bok, a takie pozycye oddziaływają szkodliwie na zdrowie. W innych przedmiotach zanadto pobudza się ambicya; ciągła walka o bliższą lokacyę, o pierwszą klasę, konieczna i dobra z siebie, staje się nieprzerwaną i sprowadza umysłowe, a w końcu i cielesne rozdrażnienie. Inne jeszcze przedmioty naukowe stają się szkodliwymi tak np. wiele pisania i chęć nauczyciela zrobienia kaligrafów ze swych uczniów, podobnież dzieje się i z rysunkami, a oczy na tem cierpią. Uczenie śpiewu także bywa wadliwe, bo często nie uwzględnia się skali i siły głosu, ani też zmiany, której głos podlega w czasie dojrzewania tak u chłopców, jakoteż i u dziewcząt. Również niedobrze się dzieje z karaniem dzieci, które się odbywa bezprawnie, bez względu na umysłowy i fizyczny stan dziecka; często dziecko, za karę musi stać przez godzinę, często przytrafiają się uderzenia w niebezpieczne, a najłatwiej dostępne części ciała np. głowę lub grzbiet. Dzieci, umysłowo źle od natury uposażone, lub też umysłowo zacofane, traktują się ostro, narażają na pośmiewisko współkolegów, a przez to nietylko, że się nie poprawiają, lecz przeciwnie, coraz niżej duchowo upadają. Nauczyciele, a głównie nauczyciele ludowi nie znają organizacyi ciała, a tem mniej mogą oceniać stan duchowy dzieci, a obok tego szkoła nie może indywidualnie zająć się uczniem i osobno go uczyć. Im mniej nauczyciel posiada wiadomości z fizyologii, tem więcej cierpią pojedyńcze dzieci pod względem ogólnych, a koniecznych zasad nauczania. A teraz kilka słów o zadaniach domowych. O ile w wyższych klasach koniecznem jest samoistne zastanawianie się i własne wypracowania, o tyle jest to zbyteczne dla szkół niższych, jako niepotrzebna plaga dla malców, szkodliwa dla ciała i ducha. Zadania matematyczne często tak dalece zajmują dzieci, że spać nie mogą i śnią o tem. Wiele pisania przy nieodpwiedniem siedzeniu w domu i oświetleniu pociąga za sobą zepsucie oczu i fałszywy sposób siedzenia. Zadanie pisemne jako kara jest błędem pedagogicznym. Praca nie powinna wydawać się dziecku karą; jest ona i tak złą, ponieważ dziecko za długo siedzi przy stole i natęża wraz z ciałem i umysł. Widzimy więc i tu szkodliwości, które, działając przez lata, nie mogą przejść, nie zostawiwszy śladów na organizmie dziecka. (C. d. n.)

Piśmiennictwo polskie.

(Nędza na Rusi, obrazki z życia wiejskiego. Skreślił Dr. H. Jasieński, Lwów. 1878.)

(Dokończenie).

W jaki sposób można zaradzić nędzy chłopa? Wskazawszy przyczyny, ułatwiliśmy niejako odpowiedź. Ale jak i pomiędzy przyczynami nie wszystkie są jednakowej ważności, tak i środki zaradcze niejednakowej mogą być doniosłości: są symptomatyczne i gruntowne, paliatywne i radykalne. Zaprowadzenie szkół i ścisłe przestrzeganie ustawy szkolnej, zorganizowanie wiejskiego kredytu, usunięcie nadużyć administracyjnych (np. peryodycznych komisyjnych peregrynacyi) i kościelnych („społeczeństwo na Rusi domaga się, aby obrzędy religijne tak w cerkwi jak w kościele, tudzież funkcye plebanów były bezpłatne“ str. 168), powściągnięcie fiskalizmu, zmniejszenie ciężarów podatkowych (p. Jasieński oblicza na str. 37 do 39, że już bez trudności możnaby uwolnić chłopa ruskiego od płacenia 60% dodatków do podatków,) słuszniejszy ich rozdział, połączenie wioski z obszarem dworskim w jednę gminę, więcej humanitaryzmu

w obchodzeniu się sądów z ludnością wiejską, uchylenie niesłusznych podatków i formalności niepotrzebnych, rozwój przemysłu domowego itd. Są to środki symptomatyczne, które nędzy nie usuną zupełnie, lecz które uczynią ją mniej powszechną i zmniejszą jej dotkliwość dla całego społecznego organizmu. Komasacya gruntów włościańskich, o której tak wiele w ostatnich czasach pisano, być może, że pomiędzy właścicielami mniejszych posiadłości ograniczyłaby nędzę; lecz za to proletaryat bezrolny musiałby powiększyć się. Wreszcie powiada p. Jasieński, iż możnaby premium wysokie wyznaczyć temu, ktoby zdołał przedstawić projekt komasacyi gruntów wsi podolskiej, a któryby to projekt wytrzymał rzeczywistą krytykę.

Caveant consules! Po całej Rusi, a może i po całej Galicyi, nurtuje myśl, że możnaby zaradzić nędzy podziałem dworskich gruntów. Jest w tem część prawdy. Statystyka poucza, że jeden obszar dworski ma sto razy więcej ziemi produkcyjnej, niż jeden właściciel mniejszej posiadłości (p. Rapacki—str. 112.) Dalej w ogóle pól ornych, łąk i ogrodów, pastwisk i lasów liczą w całej Galicyi 13,464.958 morgów, ludność zaś rolnicza ma wynosić 2,521.629; podzieliwszy więc pierwszą liczbę przez drugą, otrzymamy, że na jednego rolnika przypada ziemi produkcyjnej 5·3 morga. Już widzimy z tego obliczenia, że podział gruntów, pomijając gwałtowność i niesłuszność tego czynu, byłby tylko paliatywnym środkiem. Wreszcie mamy przykład w tym względzie na zakordonowej Rusi, gdzie chwilowy dobrobyt ludności wiejskiej, który nastąpił był skutkiem obfitego podziału gruntami, upadać już począł i nie przeszkodził bynajmniej wytwarzaniu się coraz liczniejszego rolniczego proletaryatu. Chłop jednak nie rozumuje; przygnieciony nędzą, chętnie nadstawia ucha propagandzie organizatorów Bułgaryi, którzy — jak wiemy — nie powstrzymują się przed żadnymi nieprawnymi i gwałtownymi środkami; nie chodzi im bowiem o rzetelne zaradzenie złemu, lecz tylko o ugruntowanie swojej władzy i usunięcie nieprzyjaznego dla nich żywiołu. Caveant consules, Hannibal ante portas!

Ażeby znaleść gruntowny i radykalny sposób zaradzenia nędzy ludu wiejskiego, trzeba przedewszystkiem przestać ślepo wierzyć w pewne teorye ekonomiczno-społeczne, a następnie pozbyć się niechęci i uprzedzeń ku innym, wychodzącym z przeciwnego obozu. Z wielu względów uważam, iż wypada mi na teraz ograniczyć się tylko podaniem pewnych wskazówek, gdzie należy się—podług przekonania mego—szukać owego radykalnego środka.

Wyliczając przyczyny nędzy chłopa ruskiego, wymieniłem: *brak prawdziwej i przyjaznej opieki nad ludem.* Opieka ta jednak nie powinna być ani narzucona, ani tamująca rozwoju samodzielności. Nie podzielamy więc życzenia p. Jasieńskiego, ażeby właściciele większej posiadłości sami kierowali głównemi sprawami gminy (str. 90), chociażby już tylko z tego względu, że interes ich własny często stoi na zawadzie rzetelnej obronie ludu (str. 148). Nie uważamy także — wbrew autorowi — księży ruskich za prawdziwych przedstawicieli ludu, lubo wraz z nim bolejemy, że do sejmu obecnego nie dopuszczono rzeczników ludowych i to właśnie, kiedy zaczęli wyzwalać się z pod wpływu świętojurskiego i zdobywać większą samodzielność. Któż ma więc opiekować się ludem i jego potrzebami? *Gmina.* Kwestya ta zwróciła już uwagę niektórych statystów i mężów stanu, którzy z zupełną słusznością utrzymują, że samorząd gminny, opierając się na dokładnej znajomości stosunków miejscowych, zdoła łatwiej zapobiedz niedostatkom klasy pracującej aniżeli bezpośrednie wmięszanie się państwa. Zwłaszcza w tym względzie wartoby zwrócić szczególną uwagę na ustrój i prawa gminy szwajcarskiej i norwegskiej, gdzie ludność włościańska stosunkowo do innych krajów europejskich znajduje się w najlepszych ekonomicznych warunkach. „Niech inne ludy — powiada Sismondi — chełpią się ze swych bogactw, Szwajcarya słusznie może być dumną ze swych włościan.“ Znakomity ekonomista francuski, George Laveleye, umyślnie jeździł do Szwajcaryi dla zbadania ustroju gminy wiejskiej i został zbudowany korzystnym wpływem Allmendów (gruntów gminnych) na podtrzymanie dobrobytu ludności rolniczej. Gminy nasze mają także swoje grunta. W 5274 gminach jest takich gruntów 505.742 morgi (Ziemska własność gmin w Galicyi—artykuł dr. W. Ochenkowskiego — w Wiadomościach Statystycznych, I. Lwów, 1874), więc przeciętnie na każdą gminę przypada po 95·5 morga. Potrąciwszy nieużytki, pozostaje gruntów w ilości 448.812 morgów, która to ilość przypada tylko na 4.070 gmin, czyli na każdą gminę wypada ziemi produkcyjnej 110·2 morga. Gospodarstwo nasze gminne odbywa się pierwiastkowym sposobem. Najwięcej gruntów jest użytych na pastwiska, które stanowią 62·23% ogólnej sumy, następnie lasy—23·20%, potem nieużytki — 11·26%, wreszcie ogrody, role i łąki — 3·31% wszystkich gruntów gminnych. Nieużytki obejmują przestrzeń 56930 morgów i przy dobrej woli z pewnością mogłyby być zamienione na ziemię produkcyjną. Ogrody, role i łąki bywają zwykle wydzierżawiane, a dochód z nich przeznacza się na potrzeby gminne; pewna zaś ich mała część stanowi dotacye nauczycieli, dyaków lub wójtów. Co do pastwisk i lasów, to widzimy wspólne ich używanie, powiększej części bezpłatne, a rzadko tylko za opłatą, która idzie na pokrycie podatku gruntowego. Jak widzimy więc, gminy nasze gospodarzą gruntami swoimi, najmniej dokładając do nich pracy swojej. Inaczej się dzieje w Szwajcaryi i Niemczech z gospodarstwem allmendów. Tam prócz wspólnego także użytkowania z pastwisk i lasów, gospodarstwo na gruntach rolnych odbywa się dwojako: albo grunta się dzielą i przez losowanie wyznaczają się pojedyńczym gminnym obywatelom; albo uprawa odbywa się pod nadzorem gminnym, a dopiero plon lub dochód idzie w podział pomiędzy wszystkich. Ostatni sposób najbardziej sprzyja produkcyi i jest najsprawiedliwszy. Przyzwyczaja on przytem obywateli gminnych do wspólnego działania i rozwija pomiędzy niemi wspólny interes. Znowu możemy tu powołać się na szwajcarskich i norwegskich włościan. W Szwajcaryi włościanie, chcąc mieć na sprzedaż sery ogromne i dobrze wyrobione, zawiązują pomiędzy sobą w tym celu stowarzyszenia, udzielają sobie wzajemnie kredytu i sprowadzają fachowego seroroba (fromager.) Krowy, których zwykle bywa na jednem miejscu do 40, paszą się razem, cały udój od nich zlewa się w jedno wielkie naczynie, a z tego mleka wyrabiają się sery. Po skończonej fabrykacyi, następuje podział serów pomiędzy właścicieli krów w stosunku do ilości mleka, dostarczonej przez każdą z nich. W Norwegii bardzo ważnym produktem dla rolnika jest siano, gdyż długa zima wymaga nagromadzenia większej ilości paszy. Trawa na skalistych gruntach usycha prędko. To samo się zdarza ze zbożem i z kartoflami. Rolnik więc potrzebuje mieć na swojem gospodarstwie wodę, którąby mógł skrapiać pola; nieraz jednak wypada ją sprowadzać z daleka: przez lasy, wąwozy, pod górę. W tym celu włościanie stowarzyszają się i wspólnemi siłami zaprowadzają i podtrzymują bardzo skomplikowany system irrygacyjny.

Spółka jest wielką potęgą. Dowodzić tego, byłoby dzisiaj rzeczą zbyteczną; wreszcie w dziele, o którem mowa, znajdujemy nowy przykład, dowodzący powyższej prawdy. P. Jasieński żywo i dramatycznie przedstawił walkę żydów z rolniczą szlachecką i włościańską ludnością na Podolu. Walka trwała lat piętnaście, i Ruś słowiańska przegrała; na głowę została pobita. Zwyciężył żyd ruski, stokroć od chłopa leniwszy (str. 54), nie posiadający żadnego zawodowego wykształcenia, ani tereotycznego ani politycznego (str. 61), z zasady religijnej pogardzający pracą (str. 55), gospodarujący na roli jak najgorzej (str. 65). Czemże więc żydzi zwyciężyli? Kapitałami. Musiały jednak to być większe sumy; a czyż ci arendarze szynkowni, stając do boju ekonomicznego, posiadali je? Rzecz wątpliwa. W jakiż sposób stali się siłą kapitalistyczną? Znajdujemy rozwiązanie zagadki u p. Jasieńskiego. „Na arendzie uciuławszy nieco grosza — powiada autor — jedzie żyd do rabina, zasięgnąć jego światłej rady, jak ma się dalej pokierować na świecie? Jedź na jarmark i bierz ten interes, którego ci pierwszy twój znajomy doradzi, a dobrze ci wieść się będzie. Jedzie żydek na jarmark, złazi, i wnet otaczają go znajomi; a ponieważ wiedzą, że ma nieco grosza, więc każdy ciągnie do *spółki.* Tu spółka do handlu drzewem, tu dzierżawa, tam gorzelnia, ówdzie młyn, tartak, propinacya, spust stawu, kupno zboża, pożyczka na lichwę, jednem słowem wszystko, jak zwykle na jarmarku“ (str. 63). Gdzieindziej żydek, upatrzywszy dzierżawę, „dla braku kapitału dostatecznego *skleił spółkę*“ (str. 64), i wspólnemi siłami nowi dzierżawcy ostatnie płodne soki z roli wyciągają. Otóż, ta *spółka* jest siłą żyda, a *atomowość* Rusi słowiańskiej, jej słabością. Przeciwko dążeniu do rozbiegania się jednostek, do drobienia gruntów, postawmy zasadę *spólności starosłowiańskiej. Ekonomista,* pismo tutejsze, z zadowoleniem naszem podniosło niedawno myśl spółek rolniczych, biorąc pochop z powodzenia, jakiego doznają w Anglii stowarzyszenia tego rodzaju, zainicyowane w 1830 r. w hrabstwie Norfolk przez Gurdona. Wydzierżawił ten ostatni 60 akrów średniego gruntu 15 robotnikom i w tym celu zawiązał pomiędzy nimi stowarzyszenie, udzielając im przytem pożyczki w kwocie 400 funtów. Stowarzyszenie to prowadziło gospodarstwo w tak pomyślny sposób, że po kilku latach spłaciło dług i przybrawszy sześciu nowych spólników, wzięło jeszcze 13 akrów w dzierżawę, za cenę 200 f. szt. Zainicyowanie takich spółdzielnych stowarzyszeń w rolnictwie u nas byłoby wielkiem dla ludu dobrodziejstwem. Zamiast myśleć o komasowaniu gruntów, byłoby pożytecznie ułożyć dobry projekt łączenia właścicieli rozdrobnionych gruntów w produkcyjne rolnicze spółki. Myśl tę polecamy naszej inteligencyi, a szczególnie wioskowym nauczycielom szkół ludowych. Nie jest ona u nas tak zupełnie nową. W Warszawie w 1870 r. pojawiła się nawet opowieść ludowa, propagująca łączenie rozstrzelonych pojedyńczych gospodarstw w jedno wielkie, wykonywane wspólnemi siłami i środkami. Tytuł tej książeczki jest następujący: *Andrzej Frąckowiak włościanin wzorowy czyli Nowa-wieś urządzona*, opowiedział Jan Skowronek. Książeczka ta, gdyby ją przerobiono, a przerobienia koniecznie dla jasności wymaga, byłaby u nas bardzo na czasie, i jeśliby nie sami włościanie, to przynajmniej nauczyciele wiejscy mogliby z niej korzystać. Zwracamy przeto na nią szczególną uwagę „Wydawnictwa książek ludowych“ lub też spółki księgarskiej, która przed kilku miesiącami obwieściła światu, iż rozpoczyna wydawnictwo książek ludowych, a dotąd jeszcze nie wykazała się żadnym rezultatem.

Jeszcze jedna uwaga. Właściciele obszarów dworskich skarżą się na brak robotnika i jego lichą pracę. Niechże więc spróbują środka, który okazał się skutecznym w przemyśle, a który także z powodzeniem został zastosowany do gospodarstwa wiejskiego przez kilku większych właścicieli ziemskich w Anglii i we Francyi. Nieodżałowanej pamięci Karol Libelt napisał w tym przedmiocie dziełko, i sam także próbował tego środka. Jest nim przypuszczenie czeladzi rolniczej do pewnej dywidendy z czystego dochodu, jaki daje folwark. Spróbujcie, może się uda; a nie chcecie próbować, to i nie narzekajcie!

„Żydzi pod grozą własnej zagłady muszą się wyrzec talmudu i chajderów“. (Str. 44). Jeżeli pozbycie się przesądów religijnych jest ważnym warunkiem postępu dla wszystkich warstw społecznych, to dla żydów przedewszystkiem jest to kwestya żywotna. Wzrost szybki ludności izraelickiej stanowi plagę, która jej samej da się uczuć najdotkliwiej. Prawo Maltusa powiada, iż szybkie powiększanie się liczby spożywców, jeśli mu nie odpowiada również szybkie wzrastanie produkcyi, równoważyć się musi śmiercią, nędzą, występkiem. A właśnie uznać tego prawa nie pozwalają przesądy hebraizmu. Tkwią one mocno i w przekonaniu chrześcian, a zwłaszcza pomiędzy księżmi ruskimi. Małżeństwa ich obfite bywają w spadkobierców. „Siedmioro, dziesięcioro potomstwa, to wcale nic szczególnego na Rusi; a trafia się nawet w każdym dekanacie przynajmniej jedna rodzina, licząca piętnaścioro. W Czortkowskiem żył do niedawna paroch, posiadający siedmnaścioro żyjących i wcale zdrowo wyglądających dziateczek — a pięcioro mu umarło... Ciężko też parochowi na chudej parafii“... (Str. 163), a parafii zapewne jeszcze cięższej, i nieraz zapewne żałowała ona, że celibat nie obowiązuje księży ruskich.

Panów ruskich autor dzieli: 1. na magnatów; 2. szlachtę polską i 3. szlachtę galicyjską. Pod szlachtą galicyjską rozumieć należy ten zastęp porozbiorowy, dla interesu osiadły, niekoniecznie a raczej przeważnie nieherbowy, posiadający własność, uprawniony do głosowania w kuryi większych posiadłości, a nie poczuwający się do obowiązków narodowych, jeno stwarzający sobie ściślejszą ojczyznę „Galicyę“. Otóż zastęp ten jest na Rusi najliczniejszym, powa-

żnym i bywa zawsze prawie identyfikowany z szlachtą polską". (Str. 80). Dla tej ostatniej p. Jasieński ma szczególne względy. Rozumiemy to dobrze, ponieważ szlachta polska, zwłaszcza w starszych swych okazach, posiada wiele przymiotów, które zdolne są zjednywać dla niej sympatyę. Zostało jej jednak nie wiele, i coraz bardziej rzednieją jej szeregi. Majątki ziemskie stały się bardzo ruchomemi. „Jest faktem niezaprzeczonym, że odliczywszy majątki magnackie, z pozostałej reszty 78 proc. w ciągu ostatnich 25 lat zmieniło właściciela a tylko 22 proc. ostało się dziedzictwem". (Str. 121). Szlachcic polski, wyrosły na tradycyach rycerstwa, nie wytrzymał walki ekonomicznej z kapitałami; nawet indemnizacya galicyjska nie zdołała go poratować, gdyż i ona przeszła do kieszeni „wiedeńskich kapitalistów". (Str. 106). Z szlachectwem trzeba już się pożegnać, nastaje inna era: *ludowa*. P. Jasieński powiada, że po przejeździe namiestnika w zeszłym roku przez Ruś, „panowie szlachta byli pewni, że gubernialna kancelarya wykorzeni wrzekomo istniejące agitacye socyalistyczne". (Str. 912). Socyalizm jednak, który, nawiasem mówiąc nic nie ma wspólnego ani z moskalofilizmem, ani nawet z propagandą podziału gruntów, nie tyle walczy przeciwko szlachcie ziemiańskiej, ile przeciwko owemu kapitalistycznemu ustrojowi, którego ofiarą już ona sama padła. Ma się rozumieć, historya nie wróci do form przeżytych, lecz wytworzy nowe, odpowiedniejsze potrzebom całego ogółu.

Na tem zakończymy. Autor mówi jeszcze obszernie o popach ruskich i urzędnikach. Wiele jest tam rzeczy ciekawych i uwag trafnych, ale one już dla nas mają mniejsze znaczenie. Książka ma ważny pouczający charakter. Największą jej zaletą — odwaga wypowiedzenia prawdy. Słusznie zauważał autor, że tą tylko drogą idąc, zdołamy otrząść się z niedołęstwa naszego. Wadą zaś książki jest, że została za pośpiesznie, chaotycznie i bez należytej krytyki napisaną, skutkiem czego są nawet tu i ówdzie sprzeczności, które zła wola może wyzyskać na niekorzyść autora. Przytem język, w wielu razach malowniczy, nie jest dostatecznie poprawny. Zanadto daje się w nim spostrzegać naśladowanie fejletonowości humorystycznej dzienników galicyjskich. *B. L.*

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów dnia 4. kwietnia.

„Kiedy tatuś czapkę wzięli, niechaj głowa marznie" — powiedział pewnego razu chłopiec wiejski, gdy mu ojciec schował czapkę, aby siedział w domu. Otóż coś podobnego zdarzyło się temi dniami i z publicznością lwowską, którą „Gazeta Narodowa" uprzedziła, że „Lolo" należy do sztuk mocno opieprzonych... Powiedziano sobie: „na złość niech piecze w język," i zapełniono teatr od góry do dołu i jeszcze się kilka razy to *na złość* dyrekcyi powtórzy, choćby pewna redakcya z powodu braku gratysowego krzesła dla siebie — sztukę tę, jej tłumaczenie, jej wystawienie itp. okoliczności odsądziła od czci i wiary; (notabene nie widząc jej z powodu braku gratysowego krzesła...) Bądź co bądź publiczność ubawiła się doskonale, pieprz jakoś nie parzył bardzo, skutkiem czego we wszystkich redakcyach tutejszych towar ten poszedł nieco w górę, aby tylko nie przepieprzać — broń Boże!

Widocznie o tej maksymie zapomniał kolega nasz warszawski, znany humorysta, pisujący tygodniowe sprawozdania do „Kuryera Warszawskiego" i „Nowin" — no i za to spotkała go pewnego rodzaju nieprzyjemność na ulicy, która i między humorystami lwowskiemi wywołała pewną sensacyą. A rzecz się miała tak:

Pan Spasowicz, adwokat z Petersburga, wydawca „Ateneum," miał publiczną prelekcyą w Warszawie o poezyach Wincentego Pola. Prelegentowi nie miały szczęścia podobać się staroszlacheckie gawędy autora pieśni Janusza. Młodzież uniwersytecka sypnęła prelegentowi oklaski. Prasa bardzo seryo zachmurzyła na to swoje oblicze, ma się rozumieć o tyle, o ile jej zachmurzyć się wolno.

I o to pewien humorysta skreśliwszy w fejletonie „Nowin" rozmowę opinii z rozsądkiem, ma się rozumieć warszawskim, o owej klace młodzieńczej wyraził się dość niefortunnie, nazwawszy ją wybrykiem *cielęcej wesołości*. Zrobił się straszny rumor z tego powodu między obrażonymi, potem zasadzka na ulicy, potem napad, potem trzepanina wzajemna, potem policya i skandal, który potępiła prasa warszawska.

U nas dzięki dobroczynnej opiece c. k. policyi i c. k. prokuratoryi, wypadek taki nie mógłby mieć miejsca, jednak humory kronikarzy lwowskich wskutek podobnej wieści, razem z rublami dość grubo spadły, i skutkiem tego zwołano ankietę, rodzaj komitetu bezpieczeństwa humorystycznego, na której postawiono dwa ważne wnioski: „Albo wszyscy za jednego, albo jeden za wszystkich," w razie podobnej jak w Warszawie ewentualności. Większość była za drugim wnioskiem, wychodząc z zasady, że usposobienia lwowskich literatów są więcej konserwatywno-monarchicznej natury. Chodzi teraz o wynalezienie tego *jednego*, któryby przyjął prezesowstwo humorystyki lwowskiej.. Robimy poszukiwania, wysyłamy deputacye, piszemy adresy, a jaki będzie rezultat nie omieszkam zawiadomić czytelników. Tymczasem zaś, jako prowizoryum, zostaliśmy przy staropolskiej zasadzie, której się i Koło polskie trzyma, „Wszyscy za jednego," co znaczy „każdy za siebie."

Ach to biedne Koło polskie, jak ono już dziś musi wyglądać! Ze wszystkich stron przykrawują je, każdy na swój manier tak, że jeżeli nie zrobi się zeń małe kołeczko, to z pewnością zostanie kołem zębatem, gdzie może być niebezpiecznem wkładać tam zdrowe palce.

Zasada jeden za wszystkich, znalazła niedawno w praktyce zastosowanie przy prezentacyi u nuncyusza Jacobiniego delegacyi wiozącej adresa papieżowi Leonowi XIII. Lwowską zastąpił p. Tadeusz Oksza Orzechowski i dowiedział się złą wprawdzie francuzczyzną, jak powiada „Czas," że pana nuncyusza niezmiernie cieszy ta jedność polska, która właśnie jest naszą siłą. Powiedział bardzo trafnie, jaka jedność taka i siła, której niech Bóg wszechmogący udziela zawsze wrogom naszym, a wkrótce możemy być pewni odbudowania naszej ojczyzny.

W tych dniach w mieszkaniu u b. rektora uniwersytetu p. Małeckiego, odbyło się zebranie komitetu zajmującego się wybiciem medalu dla J. I. Kraszewskiego na pamiątkę pięćdziesięcioletniego jubileuszu pracy jego literackiej. Amatorów do robienia tego medalu mamy trzech, rysunek i napis na nim już zadecydowany. Na jednej stronie będzie popiersie jubilata z napisem do koła: „Józefowi Ignacemu Kraszewskiemu r. 1878. „Na drugiej w laurowej gerlandzie: „Za pięćdziesiąt lat trudu i zasług wdzięczni rodacy." — Idzie tylko o to, żeby publiczność poparła gorliwiej, niż dotąd, starania komitetu, nadsyłając składki na ten medal. Dotąd zebrano razem koło 400 złr., a taka kwota nie może wzbudzić odwagi do zamówienia rytownika, którego koszt wyniesie co najmniej do tysiąca złr.— Galicya nasza poczciwa, nadzwyczaj kocha się we wszelkiej rywalizacyi — otóż otwiera się tu dogodne pole takowej z Kongresówką. Tam już wydano tom jeden wybranych prac szanownego jubilata, i tom ten przyniósł dochodu przeszło pięć tysięcy rubli, a tomów tych, na które są już prenumeratorowie, ma być dwanaście... Czyby nasze łaskawe panie, wychowane i wykształcone na pismach Kraszewskiego, nie raczyły głębiej do serca wziąć tej sprawy i nie wpłynęły skutecznie na swoich ojców i mężulków, popędzając ich do brania udziału w tej narodowej składce? Podług całej słuszności sprawy, nie powinno być ani jednego domu w Polsce, którykolwiek mógł się obyć bez pamiątkowego medalu tyle zasłużonego męża ojczyźnie naszej, a medal taki kosztować będzie wszystkiego trzy złr. — Szanowne panie, komitet ucieka się pod wasze opiekuńcze skrzydła i odwołuje się do waszej wdzięczności za tyle przyjemnie i użytecznie chwil spędzonych przy czytaniu utworów naszego mistrza!

W Warszawie wszystkie Zakłady publiczne i prywatne stanęły na czele agitacyi prenumeracyjnej dzieł jubileuszowych, choć dywidenda tych instytucyi nie wynosi jedenaście procentów jak np. Banku Kredytowego Galicyjskiego. U nas jakoś trudno o inicyatywę w tym względzie, trzymając się zasady, każdy za siebie.

Rzeczywiście doroczne sprawozdanie książęcego Banku przy takich ciężkich czasach prawdziwie po książęcemu wypadło. Jedenaście procent, śliczna rzecz dla akcyonaryuszów, prócz odłożenia znacznego kapitału na fundusz rezerwowy... O czem innem, np. o pewnych dotacyach, wsparciu instytucyi publicznych i t. p. nie było mowy... syty nigdy głodnemu nie uwierzy. Bank świetnie stoi, pytanie tylko czyim kosztem? Boć przecież musiał być ktoś, co te procenta, kapitały rezerwowe administracyę i t. p. drobnostki płaci... Jako kontrast temu szczęśliwemu płaceniu, stoi także Bank Galicyjski, ale już wyłącznie dla handlu i przemysłu w Krakowie. Ten postąpił sobie więcej filantropijnie, akcyonaryuszom nic nie dał. Ze sprawozdania jednak nie mogliśmy się dowiedzieć, czy od klientów swoich także nic nie brał, coby logicznie rzecz biorąc tak wypadało. Nic też dziwnego, że Kraków mając bezprocentowy kredyt, tak tryumfuje nad Lwowem pod względem miłosierdzia chrześciańskiego i pod względem rozwoju tamtejszego handlu i przemysłu.

Jakżeż smutnie wobec tych szczęśliwie prowadzonych finansowo i filantropijnie banków, wygląda ubożuchnie Stowarzyszenie pracy kobiet, które przez cały rok robiło, co mogło, dla swoich członków, a tylko pracy im znaleść nie mogło. Pracownia krawiecka się zwija, bo nie ma robić dla kogo. Dziwna rzecz, zdawałoby się, że nasze lwowskie elegantki przestały się już ubierać, lub zeszły z garderobą swoją do skromności już graniczącej ze skromnością tualety pierwszej naszej matki. Tymczasem spojrzawszy na te aksamity, koronki i materye, włóczące się po błocie za pięknościami naszemi po ulicach — widzimy, że tu przeciwnie umyślnie się niszczy, aby znów sprawiać dla dania zarobku biednym pracownicom igły. Jakaż więc tej obojętności dla miejscowego zakładu przyczyna? Wartoby zbadać tę kwestyę bliżej, niepodobna albowiem przypuścić, żeby nasze panie robiły na złość instytucyi, stworzonej przez siebie dla poratowania biednych

pracownic nie mających innego środka do życia prócz igły i dziesięciu własnych palców. Wprawdzie nikt jeszcze prorokiem nie był między swoimi — ależ szanowne panie, tu o wasz honor idzie, o waszą solidarność i siłę wobec brutalnej przewagi mężczyzn, monopolu wyzyskiwania, podniesienia godności kobiecej. Wobec takich faktów, Stowarzyszenie pracy kobiet powinno podwoić teraz swoją energię i odszukać w łonie swem wad, które odstręczają klientki od korzystania z pracy stowarzyszonych. Pominąwszy filantropijne cele, instytucya taka, aby istnieć i użytecznie prosperować, musi być zakładem, w całem znaczeniu tego słowa, opartym na zasadach handlowych, wytrzymującym wszelką konkurencyą. Inaczej zejdzie do rzędu zakładu dobroczynnego, żyjącego z łaski subsydyów, co w każdym razie nie przyniesie takich korzyści społeczeństwu, jakich należy się spodziewać po zakładzie mającym przodować wszelkiej samodzielnej pracy kobiet.

* * *

Warszawskie pisma gorliwie starają się przychodzić z pomocą prawdziwej biedzie, podając o wypadkach zasługujących na względy publiczności wiadomość, przyjmują nadsyłane datki, ogłaszają takowe i mają tę pociechę, że publiczność nigdy nie odmawia swej pomocy, gdy istotna tego zachodzi potrzeba.

Chcąc naśladować dobry przykład, udajemy się do publiczności z prośbą o pomoc dla pani P., która, niegdyś właścicielka znacznych włości na Litwie, wypadkami r. 1863 zagnana do Lwowa, obecnie po zupełnem zniedołężnieniu męża, sama własną pracą musi zarobić na utrzymanie swoje, jedenastoletniej córeczki, kształcenie tej córeczki, która posiada niezaprzeczone zdolności, a na co wszystko pracując dzień i noc przy szyciu, i narażając zdrowie i życie, zarobić może zaledwo 10 zlr. miesięcznie, z których niepodobna jest opłacić utrzymania dwojga osób i nauki dziecka. Ofiarność publiczna drobnemi datkami może przynieść skuteczną pomoc. Wzywamy jej.

* * *

My już tak przywykliśmy nisko siebie cenić, że najpiękniejsze cnoty, jakie zakwitają na naszej glebie bywają nie ocenione. Oto naprzykład w naszem galicyjskiem społeczeństwie, ile to już my nauczyliśmy się od rządów austryackich i jak ta nauka bujnie rozrasta się na naszej glebie. System podatkowy austryacki jest ponoś najznakomitszym w Europie i nigdzie nie umieją ściągać tak wysokich podatków jak w Austryi, ale dopiero nasze władze autonomiczne pokazały, że nie masz doskonałości, którejby w jeszcze wyższym stopniu rozum galicyjski nie mógł posiąść. Płacimy podatki od dochodów i od prawa zarobkowania, Rada miejska lwowska włożyła na nas podatek od rozchodu, podatek od czynszu opłacanego za pomieszkania. Rząd bierze podatek od koni, bydła, które przyczyniają nam dochód, Rada nałożyła podatek na psy, które przecież żadnego dochodu przysporzyć nie mogą, w roku ubiegłym podniosła ten podatek do 5 złr., które każdy, kogo ten podatek zaskoczy, zapłacić go musi, jeżeli nie chce być oprawcą, mniejsza o to, czy ma z czego. Rząd nasz nieregularnie płacącym dolicza procenta za czas zwłoki, Rada miejska jeszcze praktyczniej radzi sobie, bo jeżeli kto nie ma w terminie (60 dni) z czego zapłacić 5 złr., nakłada drugie 5 zlr kary i każe płacić razem 10 złr. i niech nam kto teraz zarzuci, żeśmy się niczego nie nauczyli!...

Praktyczność, to grunt. Oto naprzykład Towarzystwo asekuracyjne krakowskie asekuruje od ognia tylko takie przedmioty, które się nie mogą spalić, lub które są tak umieszczone, że ogień się tam dostać nie może. Ciekawą słyszeliśmy odpowiedź tego Towarzystwa: Nie możemy przyjąć do zabezpieczenia od ognia pewnego składu (murowanego), bo na wypadek pożaru mogłyby się co w składzie spalić i Towarzystwo byłoby odpowiedzialnem. Jest to i dowcipne i praktyczne.

I my przecież coś warci jesteśmy, tylko że się na nas poznać nie umieją.

BIBLIOGRAFIA POLSKA.

— *Ćwierciakiewicz Lucyna.* 365 obiadów za pięć złotych. Wydanie jedenaste poprawione i powiększone. 8ka, str. 342. Warszawa, 1878. 1.50.

— *Jadwiga.* Poemat przez S. B. 8ka, str. 89. Kraków 1878. 78 ct.

— *Jeske-Choiński T.* Pierwsza miłość, powieść. 8ka, 336. Lwów, 1878. 1.40.

— *Siostra mojej żony.* Obrazek z życia wiejskiego, naszkicował autor „Kłopotów starego komendanta." 8ka, str. 398. Lwów, 1878. 2.60.

— *Świdziński Karol.* Poezye. 8ka, str. 112. Lwów, 1878. 1.20.

Wiadomości z kraju i ze świata.

JUBILEUSZ J. I. KRASZEWSKIEGO.

Na medal zapisali się:
18. Wny Ludwik Przysiecki w Kołomyi.

Na *Złote myśli* przedpłacili:
33. Wny Stanisław Buszak we Lwowie.
34. Wny Ludwik Przysiecki w Kołomyi.
35. Wny Julian Ostafiński w Kurowicach.
36. Wny Dr. Dzikowski w Kałuszu.
37. Wny Marceli Rudnicki we Lwowie.
38. Wny Fryderyk Dzikowski w Kałuszu.
39. Wny Dr. Henryk Jordan w Krakowie.

Na *Wybór pism* zapisali się:
4. i 5. Wny Antoni Dobrowit Korlakowski w Tarnopolu.
6. Wny Maryan Mydło w Nowym Targu.
7. Wny A. Godek w Michałkowicach.
8. Wny Szotowicz w Tarnopolu.
9. Wny Dr. Leon Madejski w Brzeżanach.

Literatura, sztuka i nauka

*** Karola Hagena *Dzieje najnowszych czasów* od 1815 do 1848 tom 2gi, opuścił prasę nakładem Księgarni Polskiej we Lwowie. Całe dzieło składające się ze 100 arkuszy druku, kosztuje tylko 7.50 ct.

Jako uzupełnienie czasów najnowszych od r. 1848 do dni dzisiejszych, wyjdzie osobny tomik, opracowany przez Dr. B. Limanowskiego.

*** Przegląd Tygodniowy rozpoczął druk nowego dramatu Okońskiego pt. *Piękna.*

*** Sygurd Wiśniowski, zachęcony przez kilku przyjaciół naszej literatury, zajął się przekładem arcydzieła nad arcydziełami: „Pana Tadeusza" Mickiewicza na język angielski. Tylko czy spadkobiercy nie wytoczą mu procesu?

Przekład ma być w ciągu lata skończony.

„Maryę" Malczewskiego ktoś pono na język włoski tłómaczy.

*** Towarzystwo astronomiczne angielskie przyznało w tym roku złoty medal baronowi Dembowskiemu z Gallarete pod Medyolanem za ważne poszukiwania co do związku i zależności między podwójnemi gwiazdami. Prezydent jak najpochlebniej wyraził się o tym uczonym, który przez wiele lat w cichości pracując, wzbogacił teraz naukę bardzo ważnemi odkryciami.

*** W Paryżu wyszedł w drukarni Lahura dramat w 5 aktach, napisany wierszem przez Juliusza Franc p. n. „L'heroine slave." Osnowa dramatu tego wzięta jest z poematu A. Mickiewicza „Grażyna".

*** Curiosum filologiczne.

Wyraz „świecić" coraz ciekawsze zaczyna mieć u nas zastosowanie.

Mówiło się dotąd np. „świeci słońce".

Zaczęto też mówić „świeci brudem".

Pozwolono sobie wyrażać się „świeci pustkami".

Ale wreszcie w ostatnich dniach jedno z codziennych pism na seryo wyraziło się: „świeci swoją nieobecnością!"

Niedługo też zaczną mówić: świeci ciemnością v. ciemnotą".

Szkoły.

*** Z dniem 1 stycznia 1878 uniwersytet kijowski liczy 773 studentów i 64 wolnych słuchaczy (dnia 1-go stycznia 1877 r. było studentów 613 wolnych słuchaczy 53). Uniwersytet posiada bibliotekę, wraz z oddziałem studentów złożoną z 150,543 tomów, 4 fakultetowe kliniki na 85 łóżek, 4 szpitalne kliniki, dwa obserwatorya, 18 gabinetów i laboratoryi.

Przemysł.

*** Para do ogrzewania miast. Dzienniki nowojorskie opowiadają, że w północno-amerykańskim mieście Buffalo dokonano z wszelkiem powodzeniem prób ogrzewania całego miasta parą, podobnie jak gaz rozprowadzony rurami po ulicach i domach z jednego zbiornika, który znajdował się za miastem. Dotychczas ułożono w Buffalo 3 mile rur „parociągowych," które ogrzewają 51 budynków, pomiędzy któremi wielki gmach szkolny.

Podróże.

*** P Jehnda Czarny, znany turysta wschodni, wróciwszy temu kilka miesięcy z drugiej swej podróży po Kaukazie, zamierza wkrótce wydać drukiem opis swych długoletnich wędrówek po tych odległych stronach. P. Czarny zebrał niezmierną ilość ciekawych i pouczających danych o plemionach tamecznych, ich tradycyach, zwyczajach i obyczajach, a głównie o Izraelitach, od wieków tam przemieszkujących, a tak mało znanych.

Zdaniem naszego turysty, pisze Izraelita, Żydzi zamieszkali w górach kaukaskich, od morza Czarnego, aż do wybrzeży Kaspijskiego, są to potomkowie dziesięciu pokoleń Izraela, uprowadzonych niegdyś przez assyryjskiego króla Salmanassara (w 7ym wieku przed nar. Chr.), których śladów dotąd daremnie po całej Azyi szukano. Świadczą za tem ich podania odwieczne, zwyczaje i religijne obrządki, różniące się od obrzędów, praktykowanych u Żydów na Zachodzie. Przechowały się one wśród nich widocznie od czasów istnienia pierwszej świątyni jerozolimskiej, epoki, w której przodkowie ich przez assyryjskiego zdobywcę w jasyr zostali uprowadzeni. P. Czarny jest prócz tego w posiadaniu mnóstwa archeologicznych zabytków, opinią tę o pochodzeniu Żydów na Kaukazie niezbicie stwierdzających. Jest to lud górski, mężny, wojowniczy, niezmiernie swobodę miłujący, przytem pobożny, pełen cnót patryarchalnych i nad wyraz gościnny.

*** *Monit. belge* ogłasza depeszę z Zanzibaru wysłaną dnia 10 bm. okrętem do Adenu, a ztamtąd telegrafem do Brukseli, która donosi o śmierci dwóch uczonych etnografów w podróży po afryce środkowej, pp. Maes i Crespl. Pierwszy zakończył życie dnia 14, drugi dnia 24 stycznia, po bardzo krótkiej chorobie, ponieważ jeszcze w listach z dnia 9 stycznia donosili, że są zupełnie zdrowi. Obaj uczeni należeli do wyprawy afrykańskiej, urządzonej z ramienia międzynarodowego Towarzystwa afrykańskiego. Dwaj inni członkowie tej ekspedycyi, pp. Marno i Cambier już się szczęśliwie zapuścili w głąb Afryki.

Wystawa paryska.

*** Głos w sprawie wystawy paryskiej do przemysłowców polskich:

Wystawa międzynarodowa 1878 roku w Paryżu będzie dla wystawców polskich nowem i znakomitem polem dla pokazania całemu światu postępów, jakie nasz kraj we wszystkich gałęziach sztuki i przemysłu uczynił.

Aby jednak uwaga świata przemysłowego została zwróconą należycie na dobroć, trwałość i doskonałość polskich wyrobów, potrzeba koniecznie ułatwić

publiczności studyowanie szczegółowe polskiej wystawy.

Dla tego też potrzebnym będzie dla wystawców polskich organ, któryby poświęcił swe szpalty opisowi dokładnemu ich wyrobów w języku francuskim, będącym nie tylko językiem państwa, urządzającego wystawę, ale i zarazem językiem najwięcej rozpowszechnionym we wszystkich bez wyjątku krajach Europy, przez co i zbyt przedmiotów wystawionych będzie skutecznie ułatwionym.

Udawanie się do pośrednictwa dzienników paryskich, aczkolwiek nie będzie bez korzyści dla wystawców naszych, jednakowoż trzeba mieć na względzie, że pisma te chociaż nie zapomną o prawach należnych gościom pisząc o wystawie, popierać będą przedewszystkiem swoje własne narodowe wyroby i nie można się będzie temu dziwić, że przyznawać im będą we wszystkiem pierwszeństwo i stawiać je będą w swych szpaltach na pierwszym planie.

„Messager de Vienne" uczyni to samo dla polskiego przemysłu i w tym celu wydawać będzie w Paryżu z dniem otwarcia wystawy osobny dodatek poświęcony jej szczegółowemu opisowi.

Zadanie redakcyi o tyle będzie ułatwionem, że dyrekcya generalna wystawy w Paryżu przyjęła „Messager de Vienne" za jeden ze swych organów.

Komisya rządowa austro-węgierska weszła także w podobny stosunek z redakcyą „Messager de Vienne."

Niżej podpisany sądzi więc, że wystawcy polscy uwzględniając wyjątkowe usługi, które „Messager de Vienne" oddać im może na tym turnieju świata cywilizowanego, zechcą w swoim własnym interesie ułatwić redakcyi jej zadanie przesyłaniem jej, nie czekając na otwarcie wystawy, notatek, wskazówek i opisów tyczących się ich fabryk, warstatów i wyrobów, abyśmy takowe mogli dokładnie wystudyować, uporządkować i wcześnie je opracować.

Przy tem obustronnem popieraniu się, wystawcy polscy jak i redakcya „Messager de Vienne" będą mogli dopiąć zamierzonego rezultatu i oddać ojczyznie naszej i naszemu przemysłowi narodowemu znakomite usługi.

Liczne stosunki, jakie redakcya posiada w Paryżu, będą z przyjemnością w razie zażądania użyte w interesie przemysłowców polskich. *Bronisław Wołowski* redaktor główny Messager de Vienne. Getreidemarkt, Nr. 11. Wien.

⁂ Urządzająca się w Paryżu wielka wystawa ma osobny dział historyczny, którego celem zgromadzenie i zestawienie przedmiotów dających wyobrażenie o przeszłości państw i narodów. Dobrze urządzona i o ile możności kompletna tego rodzaju wystawa, może stać się niejako plastycznie opowiedzianą historyą powszechną.

Chcąc pozostać na gruncie niezależnym od bieżących wypadków i teraźniejszych politycznych podziałów, Zarząd wystawy postanowił nie przekraczać w oddziale historycznym 1800 roku, ale wszystkim uprzednim wiekom i wszystkim poza tą granicą państwom i narodom podwoje wystawy uprzejmie otwiera.

Wobec takiego postanowienia, Towarzystwo historyczno-literackie polskie w Paryżu, za obowiązek swój uznało dołożyć starań, aby w szeregu narodów nowożytnych Polska pominiętą nie była, a będąc uznane przez rząd francuski za Zakład użytku publicznego, oświadczyło zarządowi wystawy swoją gotowość urządzenia w wydziale historycznym wystawy polskiej. Zarząd z największą uprzejmością przyjąwszy to oświadczenie Towarzystwa, przeznaczył mu odpowiednie i odrębne miejsce.

Ale żeby wystawa odpowiedziała zadaniu swojemu i przedstawiła w sposób właściwy i godny narodu dziesięciowiekową przeszłość Polski, potrzeba udziału jak najliczniejszych posiadaczy dawnych zabytków naszych. Książę Władysław Czartoryski, prezes Towarzystwa i hrabia Jan Działyński przyjęli na siebie obowiązek delegatów Towarzystwa w tej sprawie i sprowadzają tu liczne przedmioty z własnych swych zbiorów; to jednak nie wystarcza, aby społeczeństwom dzisiejszym przypomnieć tę Ojczyznę, której obecnie jedynem niezabranem dobrem jest przeszłość. Towarzystwo odzywa się więc do wszystkich rodaków posiadających historyczne pamiątki, prosząc ich o udział w wystawie, aby ta, o ile podobna, jak najgodniejszą ojców naszych była.

Wszystko co było wykonane w Polsce, albo co z jej historyą zostaje w bezpośrednim związku, może znaleść miejsce na wystawie; z wdzięcznością więc przyjęte na niej będą: wykopaliska, zbroje, broń wszelka, rzędy na konie, ubiory, materye, wyroby złotnicze, stągwie, puhary, a także druki, manuskrypty, medale itd.

Ponieważ przy najlepszej woli Zarządu, miejsce dla Polski przeznaczone musi być szczupłem, zajmujący się więc urządzeniem wystawy muszą się starać, aby przedmioty jednego rodzaju nie znalazły się w zbyt licznych okazach, i dla tego wielce jest pożądanem, żeby szanowni posiadacze pamiątek narodowych, raczyli podpisanego uwiadomić bezzwłocznie, co ze zbiorów swoich powierzyć mu zechcą. Mając wcześnie taką wiadomość, mogliby delegaci Towarzystwa Historyczno - Literackiego ze swojej strony każdemu donieść, jakieby z pomienionych przedmiotów były pożądane bardziej, a jakie może nawet zbyteczne.

Cała wystawa historyczna polska zapisaną będzie w katalogu pod imieniem Towarzystwa Historyczno-Literackiego, jako posiadającego tu prawo obywatelstwa, ale każden wystawiony przedmiot może jeszcze nosić nazwisko swojego właściciela, jeżeli taką będzie jego wola.

Koszta przesyłki wystawiający ponosić będzie tylko do granicy francuskiej i od tejże granicy na zad, do siebie. Wszelkie opłaty: za przewóz od granicy do Paryża, za wypakowanie i po ukończeniu wystawy za upakowanie na nowo i odesłanie do granicy francuskiej, ponosi Zarząd wystawy.

Sposób przesłania przedmiotów na granicę francuską wskazanym będzie natychmiast po otrzymaniu uwiadomienia o chęci przyjęcia udziału w wystawie.

Z polecenia Rady Tow. Historyczno-Literackiego.

Sekretarz Towarzystwa, *Bronisław Zaleski.*

Paryż, quai d'Orleans, 6, d. stycznia 1878 r.

ROZMAITOŚCI.

⁂ Scena w niebie. Włoskie pisma humorystyczne przedstawiają taką fantazyą z raju: „Generał Lamarmora ukazuje się w niebie przed Najwyższym sędzią, który go obwinia o współudział w odebraniu Piusowi IX jego posiadłości. „Wykonywałem tylko rozkazy mego króla" — odpowiedział obwiniony. — Czy to prawda? — „Zapytaj go samego." — Dobrze, mówi Pan i zwracając się do Piotra rzecze: „Przyprowadź Wiktora Emanuela!" Król umiera i ukazuje się w niebie. „Mnie obwiniają o nieprzyjaźń dla Ojca św.?" zawołał. „Był on moim najlepszym przyjacielem." — Prawda to? — Zapytaj go samego. — „Ma słuszność", potakuje Pan. — „Przyprowadź papieża!" — I papież umiera; przyjmują go w niebie z należnemi honorami. „Wiktor Emanuel," poczyna Jego Świątobliwość, nie był złym człowiekiem. Słuchał on tylko złych rad. Niedawno przyjmował niejakiego „Gambettę." — „Gambettę", przerywa Pan, „przyprowadzić go... albo lepiej nie, francuskich republikanów będę sądził razem z niejakim Olesiem."

⁂ „Curiosum!..."
Uboga dziewczyna wiejska przyjechała ze wsi do Warszawy, a przypomniawszy sobie, iż podobno w mieście tem mieszka brat jej, którego prawie od kolebki nie widziała, postanowiła udać się do niego po pomoc i radę.

Poradzono jej, aby udała się do biura adresowego.

Tu podawszy imię i nazwisko poszukiwanego, otrzymała dokładny adres.

Udaje się we wskazane miejsce, odkrywa swe incognito i rodzeństwo z rozczuleniem pada we wzajemne objęcia.

Siostra przez kilka dni zostaje u brata, który będąc z profesyi szewcem, w dowód braterskiego przywiązania, robi jej gratis buciki.

Wszystko idzie dobrze.

Brat wyszukuje siostrze zajęcie i umieszcza ją u państwa X.

Pewnego razu przyjeżdża matka dziewczyny.

Córka prowadzi ją do brata.

Tu wydaje się pomyłka.

W szewcu bowiem stara wieśniaczka nie uznaje swego syna.

Zaszło tu małe qui pro quo, z przyczyny podobieństwa nazwisk i imion.

Przytem traf chciał, że szewc miał również siostrę, której od dzieciństwa nie znał!

Gdy wykryte zostało nieporozumienie, mniemany brat zaczął się dąsać na dziewczynę i nie chciał zwrócić jej pozostawionych u niego rzeczy, żądając uiszczenia rs. 3 za buciki.

Ostatni akt tej małej tragikomedyi odegrał się przed kratkami sądowemi!!!

Węzeł gordyjski sporu rozcięty został przez jednego z sędziów pokoju miasta Warszawy.

Sędzia kazał zwrócić rzeczy dziewczynie, a tę ostatną zobowiązał do zapłacenia szewcowi rs. 3 za trzewiki...

Dziwnie się to nieraz plecie na tym bożym świecie!

⁂ Odwiedziny karnawałowe. Sześćdziesięciu studentów hiszpańskich przybyło do Pazyża na ostatnie dni karnawału i przez kilka dni całe miasto było nimi zajęte. Ci młodzi ludzie występują w kostiumach studentów z Salamanki z szestastego wieku. Noszą oni kaftany i krótkie pantalony z czarnego aksamitu, czarne jedwabne pończochy i trzewiki z kokardami, w kolorach narodowych: czerwonym i żółtym; niektórzy mają krótkie płaszczyki z cienkiego sukna, zgrabnie udrapowane, tak, że obie ręce są wolne. Jest między nimi dwudziestu grających na gitarze, ośmiu na flecie, dziesięciu skrzypków, a dziesięciu z tak zwanemi tamborynami strojnemi w pęk wstążek, podobnie jak ich gitary. Wesoła ta gromadka przechadzała się po głównych bulwarach i ulicach, zatrzymując się na placach i wygrywając narodowe melodye, ale te ich koncerta nie przedstawiają pociągającego charakteru, bo stanowią prawie unisono, i nieledwie zupełny brak kompozycyi. Byli oni z odwiedzinami u prezydenta Rzeczypospolitej, w ambasadzie hiszpańskiej, wyprawili serenady ministrom, a w dniu 3 b. m. dali prawie koncert w ogrodzie Tuilleries. Przed wyjazdem mają się dać słyszeć w koncercie, z którego dochód przeznaczony jest na ubogich, a który odbędzie się w teatrze włoskim. Studenci rozmaitych falkultentów w Paryżu oddali im uroczystą wizytę w ich mieszkaniu w hotelu angielskim, przy ulicy Montmartre, i następnie oprowadzali ich przez cały dzień po Paryżu.

Od Redakcyi.

W. Pan W. w Ustrzykach. Najmniejszego wpływu nie mamy na czas wychodzenia *Strzechy*.

W. Pan Dr. H. J. w Krakowie. Przedpłata na *Złote myśli* J. I. Kraszewskiego wynosi 1·50 ct.

W. Pan A. Cz. w Chebowie. N. 14 w tomie V. nie było.

Do Szan. Autorów. Cierpliwości. Taką masą rękopisów jesteśmy zasypywani, że niepodobieństwem jest rychłe ich przejrzenie, a tembardziej zużytkowanie.

Z tym numerem rozpoczyna się nowy kwartał. Szanownych prenumeratorów, którzy życzą bez przerwy pismo nadal odbierać, upraszamy o wczesne odnowienie przedpłaty.

Treść Nr. 32.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego.)

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.